

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. TTSTUDIO, IXMASTER/SHUTTERSTOCK, KATERINA/UNSPLASH

Rosja / M3

Potiomkinowska wioska na YouTube

W relacjach zachodnich youtuberów Rosja to kraj zamożny, w którym ludzie są ciepli i mili. Zdaniem ekspertów taka miękka propaganda jest perfidna i niezwykle skuteczna
pisze Karolina Wójcicka

Wywiad / M5

Kruchy punkt równowagi

Jako bankowiec bardziej ufam przedsiębiorcom ostrożnym. Jeżeli ktoś dziś podchodzi do inwestowania w Ukrainie z nadmiernym optymizmem, zaczynam się niepokoić
mówi Jarosław Bełdowski



Gospodarka / M8

Uniknąć surowcowego szantażu

Chiny skoncentrowały u siebie przetwórstwo minerałów. I to jest poważny problem przekonuje Krzysztof Galos, wiceminister klimatu i środowiska

Kultura / M22

Pokazać człowieka, nie pomnik

Ociepam czarne charaktery, a wśród pozytywnych bohaterów szukam cech, które ich uczłowieczą mówi Maciej Pieprzycza, reżyser serialu „Ołowiane dzieci”



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Ale kim? „Służbami Tuska” czy „agentami Kaczyńskiego”?

Jan **Wróbel**

Dziennikarz Telewizji Republika oraz „Gazety Polskiej” Piotr Nisztor wyliczał ostatnio w audycji „Poranny ring” budzące wątpliwości polityczne dokonania Włodzimierza Czarzastego. I zauważył, słusznie, że mogłyby one zostać naświetlone wcześniej. Nawet gdyby zostały, w czasach antypisowskiego wzmocnienia trudno było, by tak rzec, dwie pieczenie upiec na jednym rożnie. Jednak jedna pieczeń to zwycięstwo prawdy, druga – oburzenie narodu politycznego i zaszczepienie karierze polityka lubiącego Rosjan. (Nawiasem mówiąc, lubienie Rosjan to nie jakiś grzech. Akurat w życiu polityka polskiego naszych czasów stanowi skłonność ryzykowną).

Powiedzmy sobie prawdę. W warunkach polaryzacji opartej na ideałach moralnych wątpliwości zawsze przemówią na korzyść oskarżonego. Po prostu własny obóz na pewno potraktuje wiele ujawnianych niesłusznych faktów jako pseudofakty produkowane przez Tak Obrzydliwych Ludzi, jak PiS (KO). A obóz drugi, im wścieklej będzie oskarżonego wdeptywał w ziemię, tym bardziej uwiarygadniać będzie narrację kompletnego fałszu podłych intryg wrogów.

W kraju normalnym – a jest ich bardzo niewiele – jednak sprawy marszałka nie potraktowano by lekko. Ktoś podejrzanym o powiązania ze służbami rosyjskimi znajduje się w otoczeniu Włodzimierza Czarzastego? Sprawa jednoznaczna nie jest, może być dziennikarską nadinterpretacją, może być niczym – ale nie musi. Ci, którzy powołani są do wnikliwego sprawdzania, nie zrobili tego; sam zainteresowany nie poddał się, kiedy miał okazję, prześwietleniu. Gdyby Rosja nie stała się państwem prowadzącym wojnę, a w ramach propagandy nie straszyła atakiem na Polskę, pewno dymu by nie było. Skoro jest, jak jest, dymek trzeba sprawdzić.

Tylko kim? Specsłużbami, które opozycja nazywa „służbami Tuska”? A może dziennikarzami, których koalicja rządowa nazywa „agentami Kaczyńskiego”? Nie będzie nam łatwo dowiedzieć się całej prawdy o (domniemy) kontaktach marszałka Sejmu z niebezpiecznymi ludźmi. Ale gdyby cała prawda została podana nam na tacy, okazałoby się, że trudno będzie nam w nią uwierzyć, jeśli nie będzie zgodna z przekazem dnia naszej partii.

© P



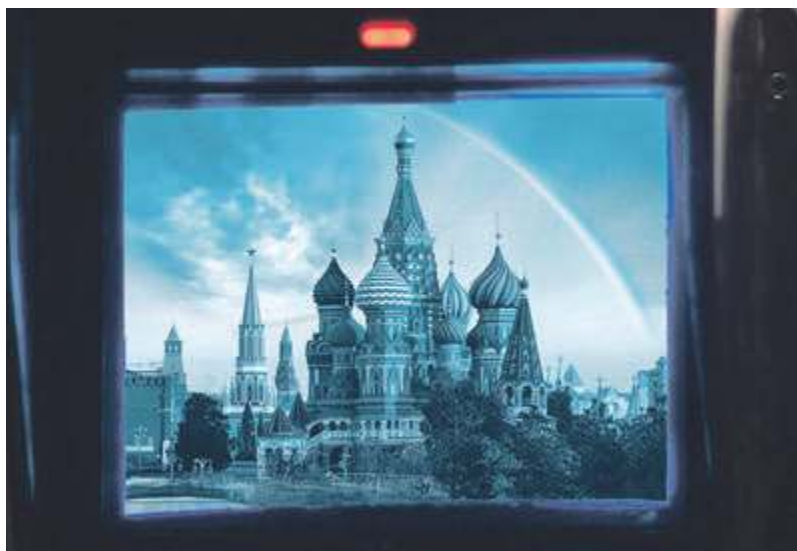
FOT. HORACIO VILLALOBOS/CORBIS/GETTY IMAGES

Świat / M16

Walne zwycięstwo nad skrajną prawicą?

Wygrana Antónia José Segury w wyborach prezydenckich to zasługa doraźnej unii politycznej korespondencja Krzysztofa Katkowskiego

Potiomkinowska wioska na YouTube



RYŚ: PATRYK KOCH, FOT. TTSTUDIO, IXMASTER/SHUTTERSTOCK, KATERINA/UNSPLASH

W relacjach europejskich i amerykańskich youtuberów Rosja to kraj zamożny i spokojny, w którym ludzie są ciepli i mili. Zdaniem ekspertów taka miękka propaganda jest perfidna i niezwykle skuteczna

Karolina

Wójcicka

Wyprawa Marii Wiernikowskiej do Rosji wywołała burzę. Krytycznie wypowiedzieli się o niej m.in. eksperci i przedstawiciele rządu. „Myślicie, że da się w Rosji nagrać materiał dziennikarski bez zgody i pomocy tamtejszych władz?” – pytał retorycznie na portalu X rzecznik rządu Adam Szłapka. O tym, że dla zagranicznych dziennikarzy praca w tym kraju staje się coraz trudniejsza, opowiadał niedawno w podcaście „The Explanation” Steve

Rosenberg, korespondent BBC w Moskwie. Człowiek, który wielokrotnie – również po wybuchu wojny w Ukrainie – miał okazję zadawać Władimirowi Putinowi niewygodne pytania. – Przeczytałem końcową deklarację szczytu BRICS. Mówi ona o potrzebie globalnej i regionalnej stabilności oraz bezpieczeństwa, a także sprawiedliwym świecie... Co to ma wspólnego z pana działaniami w ciągu ostatnich dwóch i pół roku, z rosyjską inwazją na Ukrainę? Gdzie tu sprawiedliwość, stabilność i bezpieczeństwo? – pytał Putina podczas konferencji prasowej na szczycie BRICS w Kazaniu w 2024 r.

Rosenberg relacjonował, że zarówno on sam, jak i niewielka grupa zachodnich korespondentów, którzy pozostali na miejscu po 24 lutego 2022 r., bywali śledzeni, a urzędnicy i eksperci coraz rzadziej zgadzają się z nimi rozmawiać. Do tego dochodzi ryzyko uwięzienia i stania się ofiarą „dyplomacji zakładników” – strategii polegającej na aresztowaniu obcokrajowców i wykorzystywaniu ich jako środka nacisku na państwa, których są obywatelami. Choć wydawało się, że wraz z końcem zimnej wojny tego rodzaju metody odchodzą do przeszłości, po agresji zbrojnej na Ukrainę zostały wskrzeszone.

Taki właśnie los spotkał amerykańskiego korespondenta „The Wall Street Journal” Evana Gershkovicha, którego aresztowano w 2023 r. pod zarzutem szpiegostwa. Plan opracowany przez szefa FSB gen. Władysława Mieńszikowa zakładał wymianę dziennikarza na funkcjonariusza służb bezpieczeństwa, który odbywał w Niemczech karę dożywotniego pozbawienia wolności. Gershkovich spędził za kratami 16 miesięcy. Uwolniono go w ramach największej w najnowszej historii amerykańsko-rosyjskiej wymiany więźniów. Jej elementem była również zgoda Polski na zwolnienie Pawła Rubcowa, ➤

szpiega zatrzymanego przez nasze służby kilka dni po wybuchu wojny.

Wiernikowska postrzega sytuację dziennikarzy w Rosji nieco inaczej. Zapytana przez DGP o podróżowanie po kraju Putina stwierdziła, że jest to „cholernie łatwe”. Choć początkowo zgodziła się z nami porozmawiać i deklarowała gotowość do odpowiedzi na nasze pytania, ostatecznie wywiad odwołała. Jak wyjaśniała, redakcja Kanału Zero woli wstrzymać się z komentarzami do czasu publikacji wszystkich odcinków z jej wyprawy na Wschód. Wedle założyciela platformy Krzysztofa Stanowskiego widzowie zobaczą w nim prawdziwe oblicze Rosjan: – Chcemy pokazać w tym reportażu, kim są ci ludzie, co się z nimi stało, jak przeprano im mózgi, co nimi kieruje, jakiego rodzaju osobowości tam są – mówił Stanowski. Zapewniał, że materiał Wiernikowski nie jest laurką dla agresora.

W pierwszym odcinku polska dziennikarka serwuje widzom krótkie, uprzejme rozmowy z mieszkańcami Królewca. Spaceruje po ulicach, odślaniając codzienność miasta żyjącego w cieniu sankcji. Zatrzymuje się przy całodobowej kwiaciarni i pyta sprzedawczynię, jak funkcjonuje w sytuacji, w której podróże zagraniczne – np. do Polski – stały się praktycznie niemożliwe. – Mamy dokąd jeździć, tu jesteśmy u siebie. Poza tym są samoloty, statki – odpowiada kobieta.

Na ekranie widzimy potem serię ujęć: mężczyznę śpiewającego na placu w centrum miasta, grupę młodych, roześmianych chłopaków i galerię handlową, w której Wiernikowska przymierza futrzane czapki. W restauracji z entuzjazmem opisuje serwowane dania, a na targu filmuje stoiska pełne warzyw i owoców. – U nas mówi się, że u was jest kryzys – zagaja jedną ze sprzedawczyń. W odpowiedzi słyszy, że „w Rosji wszystkiego jest, o, potąd”. – Rosja zwycięży! – dodaje kobieta.

Mili Rosjanie

Wiernikowska nie jest jedyną mieszkanką Zachodu, która publikuje w mediach materiały ocieplające wizerunek Rosji. Europejscy i amerykańscy youtuberzy podróżują tam regularnie, pokazując światu, że kraj ten nie załamał się po wybuchu wojny.

Jednym z nich jest Kamil Cichocki, który od dziewięciu lat prowadzi na YouTube kanał podróżniczy Kamil in Travel. Był już m.in. w Chinach, Japonii, Laosie i Kenii. W październiku 2025 r. zamieścił swój pierwszy film z Rosji. Podkreślał, że „nie jest to wyjazd sponsorowany”, a na pomysł podróży wpadł sam. Jak zapewniał, marzył o niej od dawna. A skoro sytuacja polityczna „się zagęszcza”, być może to ostatni moment na wyjazd. W Moskwie spacerował ulicami z drogimi sklepami, filmując luksusowe samochody (głównie mercedesy). Jego relacje niewiele różnią się od tego, co w pierwszym odcinku zaprezentowała Wiernikowska.

Materiały tego typu mają kilka wspólnych cech. Przedstawiają Rosję jako kraj zamożny i spokojny. Miejsce, w którym można dobrze się bawić.

Jednocześnie sugerują, że sankcje nałożone przez Zachód w związku z agresją na Ukrainę nie działają. Reporterzy odwiedzają liczne sklepy, żeby to udowodnić. – Znajdują się tu wszelkiego rodzaju marki europejskie, które rzekomo nie istnieją w Rosji – mówi Kamil, wskazując na sklepy Furli i Max Mary w słynnym centrum handlowym GUM. Prezentuje drogerię z zachodnimi perfumami i wypełnione Coca-Colą Zero półki w supermarkecie. I zachwycą się niskimi cenami. – Jakbyście chcieli zjeść steka, to macie: 6 euro za 250 gramów – cieszy się przy dziale mięsnym.

Jeśli ktoś wciąż nie czuje się przekonany, podróżujący do Rosji dziennikarze i blogerzy mają jeszcze inny argument: ludzie są tu niezwykle mili i – co charakterystyczne w relacjach rodzinnych reporterów – lubią Polaków. W filmie Marii Wiernikowskiej kwiaciarka chwali nasze chleb i kiełbasę, kelnerzy wspominają wizyty w popularnej sieci dyskontów, a sprzedawca na straganie żali się, że dawno nie był nad Wisłą. Kamilowi Cichockiemu młodzi Rosjanie opowiadają, że uwielbiają „Wiedźminą”, a napotkana na ulicy kobieta przekonuje go, że „wszyscy jesteście ludźmi i powinniśmy żyć w przyjaźni”.

Adam Majchrzak, zastępca redaktora naczelnego w stowarzyszeniu Demagog, mówi DGP, że relacje twórców internetowych, którzy odmalowują Rosję w samych superlatywach, kojarzą mu się z „wioską potiomkinowską”, czyli oszustwem obliczonym na ukrycie prawdy. – Tworzą wrażenie, że w Rosji wszystko jest w porządku – podkreśla.

Jak zauważa, z materiałów twórców internetowych nie dowiemy się, że jest to kraj głębokich nierówności, bo przedstawiają one jedynie wąski wycinek rzeczywistości. – Pokazują realia bogatszych regionów i dużych miast, takich jak Moskwa czy Sankt Petersburg, których mieszkańcy żyją na wyższym poziomie niż ludzie w innych częściach kraju. Nie ma w tym nic zaskakującego. Ale z jakiegoś powodu ci youtuberzy, świadomie lub nie, robią z tego sensację – dodaje Majchrzak.

Wiadoma sytuacja

O ile u Wiernikowskiej temat wojny się przewija, o tyle w materiałach podróżników amatorów i influencerów jest nieobecny. Z kanału Kamila Cichockiego nie dowiemy się nawet, że działania zbrojne w ogóle trwają. Tłumacząc, dlaczego nie ma bezpośrednich lotów do Moskwy z Warszawy czy Krakowa, mówi jedynie, że wynika to z „wiadomej sytuacji”.

Julia, znana w sieci jako Polka w Moskwie, oprowadzając Kamila po stolicy, wyjaśnia widzom, że McDonald’s przeszedł w Rosji rebranding – stąd inne nazwa i logo. – Menu po-

zostało takie samo – zarzeka się kobieta. Nie wspomina, że amerykańska sieć fast food wycofała się z kraju po 24 lutego 2022 r. Lokale wykupił miejscowy miliarder i utworzył nową, niezależną od McDonald’sa sieć o nazwie Wkusno i toczka.

Julia na co dzień również działa w internecie, zwłaszcza na TikToku. Przekonuje tam, jak nowoczesnym krajem jest – według niej – Rosja (czego dowodem mają być m.in. gniazdka USB w autobusach) i jak bardzo Rosjanie lubią Polaków (spacerując po Moskwie, podkreśla, że nikt nie reaguje na to, że mówi po polsku). O jej życiu wiadomo niewiele. Jak opowiada w jednym z nagrań, przeprowadziła się tam ponad trzy lata temu, by zamieszkać ze swoim partnerem, a dziś mężem – poznanym w Turcji Rosjaninem Aleksandrem. Wcześniej przez kilka lat regularnie odwiedzała Moskwę. W żadnym ze swoich materiałów na TikToku nie porusza tematu wojny. Tłumaczy to tym, że jest „apolityczna”.

Podobnie jak założyciel kanału „W Matrioszcze”, który jest jeszcze bardziej tajemniczy. Rudy mężczyzna w średnim wieku nie zdradza widzom nawet swojego imienia (podobnie jak Polka w Moskwie nie odpowiedział na prośbę DGP o komentarz). Z informacji, które udostępnił na swoim profilu, wynika jedynie, że jego historia jest podobna do historii Julii: przeprowadził się do rosyjskiej stolicy dla żony. Poznali się w Chinach – twierdzi, że oboje są sinologami. – W kontekście wydarzeń, które dzieją się na świecie, jest to pewne istotne tło, ale nie chciałbym się szczególnie do niego odwoływać ani poświęcać mu uwagi z kilku względów – mówi założyciel kanału „W Matrioszcze”.

Filmy na YouTube zaczął publikować w maju 2024 r. Tłumaczył, że znalazł się „na takim etapie życia, że pewne sprawy zawodowe stały się mniej ważne, a komunikacja, przyjaciele, rodzina stały się jeszcze ważniejsze niż kiedyś”. – Jestem na etapie komunikacji i zainteresowania wieloma aspektami życia, ponieważ uważam, że wszyscy ludzie są albo jednakowi, albo bardzo podobni – mówił widzom. W jego wypowiedziach chwilami lekko pobrzmiewa rosyjski akcent.

Na pasku Kremla

To niejedyna poszlaka sugerująca, że „W Matrioszcze” może nie być niezależnym projektem. Kanał twórcy na Instagramie przypomina rosyjski katalog reklamowy. „Elektryczne tramwaje wodne obsługują trzy całoroczne trasy w ramach komunikacji miejskiej. Przy obecnych mrozach pełnią funkcję lodolamaczy – ich wzmocnione kadłuby są przystosowane do pokonywania

cienkiej pokrywy lodowej. Dzięki automatycznemu pantografowi są szybko ładowane w czasie wsiadania i wysiadania pasażerów” – tak założyciel kanału relacjonuje swoją przejażdżkę elektrycznym tramwajem wodnym w Moskwie.

Eksperci nie mają wątpliwości, że niektórzy youtuberzy i tiktokery – szczególnie ci na stałe mieszkający w Rosji – współpracują z tamtejszymi służbami i ośrodkami propagandy. – Są osoby opłacane przez rosyjskie źródła, bardzo często nie w bezpośredni sposób, lecz np. przez instytucje kultury, które otrzymują fundusze z Rosji – mówi nam prof. Katarzyna Bąkowicz, ekspertka od dezinformacji z Uniwersytetu SWPS.

Podobne wątpliwości dotyczą Polki w Moskwie. – Przekaz, który forsuje, jest zgodny z linią propagandową Kremla – zauważa Majchrzak. I dodaje: – To, że ktoś jedzie do Rosji, swobodnie nagrywa i wypowiada się pod obiektywami rządowymi, wzbudza podejrzenia. W przypadku niezależnych dziennikarzy, którzy krytykowaliby władzę, nie byłaby to taka prosta sprawa.

Potwierdzają to doświadczenia innych twórców internetowych i podróżników. Jesienią 2024 r. amerykański vlogger Thomas Bird, znany na YouTube jako Sabbatical Tommy, zwrócił na siebie uwagę rosyjskich organów ścigania, gdy znalazł się zbyt blisko granicy z Chinami. Sąd w Biriobidżanie na Dalekim Wschodzie uznał go winnym dwóch wykroczeń: nieposłuszeństwa wobec policji i „dyskredytowania” rosyjskich sił zbrojnych poprzez użycie w opisie filmu na YouTube słowa „inwazja” na określenie „specjalnej operacji wojskowej” w Ukrainie. Bird spędził dwa tygodnie w areszcie, mimo że opublikowane przez niego wideo pokazywało Rosję w korzystnym świetle – prezentowało warte odwiedzenia miejsca i życzliwych ludzi.

Jest też duża grupa ludzi, którzy nieświadomie uczestniczą w wybielaniu Rosji. To często osoby o ultrakonserwatywnych poglądach, które wierzą, że kraj Putina stoi na straży tradycyjnego modelu życia. Jedną z nich jest Amerykanin Joe Schutzman, który pod koniec 2023 r. wraz z rodziną przeniósł się do Moskwy. Jak wyjaśniał, zdecydował się na taki krok, bo był „sfrustrowany propagandą LGBT” w swoim kraju. Na YouTube opowiadał, że Ameryka „porzuciła Boga” i „promuje dzieci z in vitro”, sugerując, że rosyjski konserwatyzm religijny oferuje atrakcyjną alternatywę dla zepsutej cywilizacji Zachodu. – Dopiero gdy tam pojechałem, zrozumiałem, że byłem zaprogramowany, aby myśleć, że Rosja to ponure i przygnębiające miejsce – mówił. – Okazało się, że to kompletna nieprawda – dodał. Również Schutzman nie porusza w swoich nagraniach tematu inwazji na Ukrainę.

Władze na Kremlu dostrzegły potencjał w ludziach, którzy w swoich ojczyznach widzą więcej zagrożeń niż w kraju agresorze, toczącym wojnę przeciwko sojusznikowi NATO. W sierpniu 2024 r. dekretem Putina wprowadzono specjalną wizę „anty-woke” dla obywateli m.in. państw Europy, USA, Australii i Japonii, którzy chcie-

W sierpniu 2024 r. dekretem Putina wprowadzono specjalną wizę „anty-woke” dla obywateli m.in. państw Europy, USA, Australii i Japonii, którzy chcieliby się osiedlić w Rosji

ROSJA

liby się osiedlić w Rosji. Według oficjalnego komunikatu wiza ma na celu „udzielenie pomocy humanitarnej osobom, które podzielają tradycyjne rosyjskie wartości duchowe i moralne”. Zainteresowani nie muszą nawet wykazywać się znajomością języka rosyjskiego ani wiedzą o tym kraju. Wystarczy oświadczenie, że nie zgadzają się z polityką swojego państwa pochodzenia.

Nawet jeśli twórcy internetowi kreślący pozytywny obraz Rosji nie mają powiązań z władzami, to ich materiały w pewnym stopniu wypełniają lukę po propagandzie, którą przed wojną serwowały światu rosyjskie media – ze stacją telewizyjną RT (wcześniej Russia Today) na czele. Na początku marca 2022 r. Unia Europejska obłożyła RT sankcjami, uznawszy, że „odgrywa ona istotną rolę w podżeganiu do agresji militarnej przeciwko Ukrainie oraz w destabilizowaniu państw sąsiednich”. Prokremlowski kanał zablokowały też amerykańskie platformy streamingowe, zaś nadająca z Waszyngtonu RT America ogłosiła zakończenie działalności. RT i Sputnik (agencja informacyjna należąca do tej samej grupy) zniknęły również z Google’a, kontrolującego YouTube’a. We wrześniu 2024 r. Stany Zjednoczone objęły rosyjską telewizję kolejnymi sankcjami, a Meta, właściciel Facebooka i Instagrama, zablokowała profile holdingu. Próby omijania blokad poprzez tworzenie kopii kanałów były nieskuteczne – YouTube usuwał je w ciągu kilku godzin za naruszenie zasad platformy.

Zniechęcić do Unii

W ocenie Katarzyny Bąkowicz miękka propaganda jest „wyjątkowo perfidna, niezwykle skuteczna i bardzo trudna do wykrycia”. – To działanie z pogranicza – podkreśla ekspertka. W grę wchodzi tworzenie pozornie neutralnych materiałów, które mają budować upragniony przez nadawcę wizerunek. – Wielu się na to łapie, bo przekaz oddziałuje na nas psychologicznie. Jest nieagresywny, nie wzbudza wielkich emocji, trudno nam go zablokować – wyjaśnia. Kiedy człowiek napotyka informację, z którą się nie zgadza, odcina się od jej źródła, np. przestaje obserwować danego nadawcę. W przypadku neutralnych treści jest inaczej. Nawet jeśli odbiorca nie do końca się z nimi zgadza, to – wyjaśnia badaczka – dalej je śledzi, bo nie jest poirytowany na tyle, by je odlaikować.

Rozmówcy DGP uważają, że działania twórców internetowych mogą wpisywać się w operacje propagandowe, które szykują grunt na przyszłość. – Kiedy się spojrzy na cały ten ekosystem informacji, widać, że Rosja aktywnie dąży do tego, by sprawić wrażenie, iż to ona jest atrakcyjna, a Unia Europejska, jej instytucje i media są złe – przekonuje wicenaczelną Demagoga.

Wspierana przez Kreml narracja coraz częściej spotyka się z przychylnym przyjęciem. W opublikowanym w grudniu 2025 r. badaniu United Surveys by IBRIŚ na zlecenie Wirtualnej Polski około jedna czwarta ankietowanych opowiedziała się za polexitem, prawie 66 proc. było przeciw. ©



FOT. FRANCISCO RICHART/ZUMA PRESS/FORUM

Kilometry światłowodów, przez które sterowano dronami. Sumy, 28 stycznia 2026 r.

Kruchy punkt równowagi

Jako bankowiec bardziej ufam przedsiębiorcom ostrożnym. Jeżeli ktoś dziś podchodzi do inwestowania w Ukrainie z nadmiernym optymizmem, zacznę się niepokoić

Z Jarosławem

Bełdowskim

rozmawia Sebastian Stodolak

Czy z perspektywy życia gospodarczego w Ukrainie dzieje się dziś coś istotnie innego niż rok czy dwa lata temu?

Widać opanowanie inflacji, która spadła w styczniu do ok. 8 proc. To mały krok do większej stabilizacji.

Pytam, bo gospodarka zazwyczaj wyprzedza mające nastąpić wydarzenia. Gdyby za miesiąc miało dojść do podpisania umowy pokojowej albo choćby do zawieszenia broni, to prawdopodobnie gospodarka wiedziałaby o tym wcześniej i już byłoby to widać w danych.

W tym kontekście ważne są sygnały Narodowego Banku Ukrainy: na początku roku nieco ściały stopy procentowe, jednak bez zapowiedzi dalszych obniżek. To z jednej strony może przeczyć tezie o wyprzedzaniu

pokoju przez gospodarkę. Z drugiej – ułatwia to bankom planowanie akcji kredytowej. Ukraińska gospodarka okrzepła w tym sensie, że nie doświadcza już gwałtownych tąpnięć, w zeszłym roku wzrost był umiarkowany, rzędu 1,8–2 proc. Niestety, nie da się powiedzieć, że dane wysyłają jednoznaczne sygnały nadchodzącego pokoju.

Czy w tym, jak jest prowadzona ukraińska polityka gospodarcza, widać, że państwo nauczyło się zarządzać sytuacją wojenną? Gospodarka w pewnym stopniu zaakceptowała wyższe koszty funkcjonowania. Na przykład: tracimy część źródeł energii, ale jednocześnie rośnie świadomość, że prąd będzie droższy i trzeba się do tego dostosować. Jeśli firma przechodzi na generatory, to wyższy koszt energii musi zostać przerzucony dalej – i rynek

w pewnym sensie to wchłaniania. Dzięki temu nie jest tak, że każdy cios energetyczny automatycznie wywołuje gwałtowne tąpnięcie.

Wieczorami, tu we Lwowie, gdy nie ma prądu, słychać pracę agregatów przy restauracjach. Czy można powiedzieć, że dziś każda firma ma generator prądu? Pewnie nie każda, ale w praktyce większość ma jakieś zabezpieczenie. Generatory są powszechne, ale pamiętajmy, że energia z generatora jest kilka razy droższa niż prąd z sieci.

A jak dostosowanie do działania w warunkach wojny wygląda z perspektywy pańskiego Kredobanku? Ile placówek macie w Ukrainie? Sześćdziesiąt cztery. Są rozsiane po całym kraju. Jeśli chodzi o wyzwania, dam prozaiczny przykład. Gdy ogłaszany jest alarm, oddział banku, jak każda placówka publiczna, musi zostać zamknięty. I teraz wyobraźmy sobie dzień, w którym alarmy trwają właściwie bez przerwy. W kilku oddziałach, zwłaszcza blisko frontu, bywały sytuacje, że przez 3-4 dni pracownicy w ogóle nie pojawiali się, bo alarmy były praktycznie ciągle. Wówczas trzeba zapewnić im możliwość pracy zdalnej, gdy tylko jest to możliwe, ale też zadbać o ich bezpieczeństwo, w tym o miejsca schronienia.

Były uderzenia w pobliżu waszych oddziałów? Tak. Zdarzyło się nawet, że niedaleko naszego oddziału, który akurat wizytowałem, spadł dron.

W skali makro: ile ta wojna kosztuje bank? Na pewno ogranicza rozwój i wpływa na wyższe koszty działalności. Mamy 64 oddziały i pozostajemy rentowni.

A ludzie? Bankowość wymaga kompetencji. Do tego część wykwalifikowanych osób wyjeżdża. Jak u was wyglądało utrzymanie zatrudnienia?

Praca w banku jest dla wielu osób stabilnym i cenionym miejscem zatrudnienia. Pracownicy ze Wschodu w wielu wypadkach przenosili się i są teraz w innym miejscu.

Co się dzieje obecnie z oddziałami na terenach okupowanych? Nie wiemy. Nie utrzymujemy kontaktu z tamtą stroną. Mogę natomiast powiedzieć o tym, co widziałem: w Chersoniu w trakcie okupacji włamano się do sejfów, by wyjąć gotówkę. Ten oddział ucierpiał także w bezpośrednim ataku, ale nadal działa, bo ludzie tam potrzebują usług.

Jesteście bankiem finansującym firmy, więc macie wiedzę o tym, jak przedsiębiorstwa funkcjonują w warunkach wojny: braki prądu, odpływ ludzi, problemy płacnicze. Jak one sobie z tym radzą? Firmy nauczyły się też adaptować do wojny w szerszym sensie – w logice całego procesu produkcji i utrzymania ciągłości działania. Mamy klienta, który miał fabrykę w Sumach. Jego zakład został zniszczony, ale w ciągu

dwóch miesięcy przeniósł go na zachód kraju i wznowił produkcję.

Co produkuje? Wyroby z tworzyw sztucznych. Przeniesienie linii produkcyjnej nie jest łatwe, trzeba ją zdemontować, przewieźć, złożyć i uruchomić, to proces skomplikowany. W tym przypadku udało się nie tylko przenieść wyposażenie, lecz także zabrać maszyny uszkodzone, część udało się naprawić. Oczywiście dochodzi czynnik nowego miejsca, bo trzeba się oswoić z inną lokalizacją, ale największym ograniczeniem i tak są ludzie: zasoby kadrowe są w tutejszej gospodarce wąskim gardłem.

Jak ukraińskie firmy próbowały utrzymać zatrudnienie w warunkach wojny?

Kto płaci więcej, ten ma większe szanse przyciągnąć lepszych ludzi. Ale nie wszyscy kierują się wyłącznie pieniędzmi. Dla części liczy się stabilność organizacji, miejsce pracy i relacje z zespołem...

Zatrzymanie pracowników spowodowało się chyba jednak przede wszystkim od powstrzymywania ludzi od emigracji.

Tyle że nie wszyscy mogą emigrować. I dlatego jednym z kluczowych mechanizmów było korzystanie z formalnych możliwości wyłączania pracowników z mobilizacji. Istnieją limity – bronowanie – które pozwalają firmom zachować kluczowe osoby, oficjalnie zwalniając je z obowiązku służby wojskowej. To szczególnie istotne w sektorach wymagających specjalistycznych kompetencji. Są też inne systemowe rozwiązania: osoby piszące doktorat są wyłączone z mobilizacji, podobnie jak rodzice trójki dzieci. W praktyce oznacza to, że zarówno firmy, jak i pracownicy aktywnie poruszają się w ramach dostępnych regulacji, próbując zachować ciągłość pracy i życia zawodowego. Chociaż faktem jest, że na początku wojny nastąpił gwałtowny odpływ ludzi, ale później sytuacja się ustabilizowała. Wprowadzono możliwość powrotu do kraju bez automatycznej mobilizacji, co sprawiło, że część osób wróciła. Jednocześnie inni wyjechali właśnie dlatego, że taka możliwość się pojawiła. System osiągnął więc kruchy punkt równowagi. Ponadto mamy do czynienia z pewną normalizacją ekstremalnych warunków wojny.

To znaczy? Byłem w Chersoniu. To w dużej mierze miasto duchów, lecz nie wszyscy z niego wyjechali. Dlaczego? Oczywiście, ci ludzie nie uznają sytuacji za normalną, ale z jakichś przyczyn się do niej adaptują. Pamiętam rozmowę z jedną z pracownic, która powiedziała mi, że była „na wakacjach” w Pokrowsku. Nie byłem pewien, czy żartuje. Przecież to miasto znajduje się pod nieustannym ostrzałem rosyjskim. Okazało się, że jej mąż tam pracował, więc pojechała go odwiedzić na tydzień.

A inwestycje? Czy firmy już myślą o rozwoju, czy raczej wszystko jest zamrożone?

Jako bankowiec bardziej ufam przedsiębiorcom ostrożnym. Jeżeli ktoś dziś podchodzi do inwestowania w Ukrainie z nadmiernym optymizmem, zaczynam się niepokoić. Skala niepewności jest tak ogromna, że dużo bardziej wiarygodna jest postawa: mam plan, ale jeszcze go ważę. Przykład: producent krochmalu. To biznes sezonowy, od września do grudnia. Rozważali uruchomienie nowej linii do produkcji wysokiej jakości krochmalu medycznego, wykorzystywanego jako komponent w lekach. Ostatecznie zrezygnowali. Są zbyt blisko frontu i uznali, że ryzyko za-inwestowania kilku milionów euro w linię, która może zostać zbombardowana, jest zbyt wysokie. Dużych inwestycji więc raczej nie ma. Są natomiast mniejsze projekty – takie, które pozwalają firmom lekko zwiększyć udział w rynku bez podejmowania dużego ryzyka: rozbudowa mocy, dodanie pojedynczych elementów, poprawa efektywności. Nie buduje się nowych fabryk, ale nie wstrzymano wszystkiego.

Ale są branże, które rozwijają się szybciej – i tam są też inwestycje.

Na przykład sektor dronowy. Ukraina to dziś jeden z najbardziej dynamicznych ekosystemów producentów dronów na świecie, ale głównym klientem jest państwo, które ma ogromne zapotrzebowanie. Dla części firm oznacza to praktycznie gwarantowany zbył. Są już w tej branży przedsiębiorstwa, które wyraźnie wysuwają się do przodu, choć jeszcze nie można mówić o globalnych potęgach. Są tu olbrzymia konkurencja technologiczna i niezwykle eksperymenty. Na przykład na początku wojny nikt nie myślał o dronach sterowanych światłowodem. Dziś – ze względu na zagłuszanie sygnałów radiowych – to realna alternatywa. Są miejsca, gdzie pola są dosłownie obsiane wiązkami światłowodów. Nie wiadomo jeszcze, która technologia wygra, ale już widać firmy dominujące w poszczególnych niszach.

Czy z wojennych doświadczeń firm ukraińskich da się wyprowadzić jakieś wnioski dla Polski? Warto by było przygotować naszą gospodarkę na najgorszy scenariusz.

Ukraińskie doświadczenie pokazuje, jak ważne jest realne planowanie awaryjne: co robimy, gdy tracimy dostęp do energii, gdy zrywa się łańcuch dostaw, gdy znika personel. W Polsce często mamy procedury kryzysowe na papierze. Tymczasem trzeba naprawdę zadawać sobie pytanie: co zrobimy, jeśli jutro tracimy prąd? Nie chodzi o to, by każdy kupował generator. Chodzi o świadomość ryzyka i przygotowanie alternatywy.

W Polsce od początku wojny mówiło się o odbudowie Ukrainy i udziale firm polskich w tym przedsięwzięciu. Czy dostrzega pan realne zainteresowanie biznesu?

Tak. I to zainteresowanie ma bardzo konkretne podstawy. Tutejsze przepisy są mniej restrykcyjne niż w UE, co pozwala zyskać na konkurencyjności. Ukraina może się stać więc naturalną alternatywą dla produkcji w Unii. Z kolei minimalne wyngrodzenie miesięczne wynosi ok. 8,4 tys. hrywien. To ok. 750 zł. Realnie trudno znaleźć pracownika za taką stawkę, ale już przy 15 tys. hrywien, czyli ok. 1350 zł, pojawia się zaciekawienie. Inna przyczyna zainteresowania polskich firm Ukrainą to przekonanie, że jej integracja z Zachodem jest nieunikniona. W związku z tym niektóre branże rozważają już teraz przeniesienie części produkcji do Ukrainy, bo to będzie nowy rynek zbytu.

W jakich jeszcze obszarach Polska mogłaby przenieść część produkcji lub kompetencji do Ukrainy?

Wszędzie tam, gdzie wartością dodaną jest technologia, know how, optymalizacja kosztowa i transfer kompetencji. Do tego dochodzi jeszcze drugi element: odbudowa kraju ma iść w parze z modernizacją. Przykład: zostałem poproszony o znalezienie polskiej firmy budowlanej, która mogłaby wzniesć most w jednym z tutejszych miast. Dla lokalnych władz to projekt cywilizacyjny, bardzo ważny. Ale nie chodziło tylko o to, żeby postawić most. Usłyszałem: potrzebujemy firmy, która potrafi go zbudować bez stosowania klasycznego, ciężkiego cementu – w sposób, który obniży koszt o ok. 40 proc., a jednocześnie przeprawa musi zachować pełną wytrzymałość i spełnić europejskie standardy.

A nie jest tak, że wszystko jest już obstawione przez firmy niemieckie, amerykańskie czy francuskie? Nie obserwuję szczególnego przygotowania zagranicznych korporacji do wejścia na rynek ukraiński. Ponadto Polska ma tu bardzo ciekawą rolę do odegrania. Skoro i tak wykonujemy dziś wiele zadań dla niemieckich firm, dlaczego nie mielibyśmy tego modelu rozszerzyć na Ukrainę? To racjonalna strategia zwiększania własnej obecności gospodarczej przez międzynarodowe konsorcja. Naszą przewagą jest relatywna bliskość kulturowa. Niemieckie standardy organizacyjne są dużo dalej od ukraińskich rzeczywistości niż polskie. My wciąż mamy ludzi, którzy pamiętają, jak wyglądały realia 20 lat temu. Dla nich wiele rzeczy na Ukrainie nie jest szokujące. To predestynuje Polskę do roli pomostu między Zachodem a Kijowem.

A krążące w pierwszym roku wojny informacje, że Ukraina „podzieliła regiony odbudowy” między poszczególne państwa i np. Polsce przypadł Donbas?

Są nieprawdziwe. To element rosyjskiej narracji propagandowej. Nie ma formalnego przypisania regionów do państw, które miałyby je odbudowywać. To, co widać realnie w ukraińskiej gospodarce, to relokacja biznesu.

WYWIAD

Przykładem jest Zakarpacie, region wcześniej raczej peryferyjny, a dziś dynamicznie rozwijający się, bo najmniej dotknięty działaniami wojennymi. Tam przenosi się wiele firm, również z Charkowa. Lwów był pierwszym naturalnym kierunkiem, ale infrastruktura zaczyna się tu dusić: brakuje przyłączy energetycznych, przestrzeni pod rozwój. Inna sprawa to przekonanie – błędne – że o wszystkim decyduje Kijów. Bliskość polityki i biznesu jest oczywiście w Ukrainie znacznie większa niż w Polsce. Przy lokalizacji fabryki kluczowe bywa spotkanie z merem miasta – to on często podejmuje decyzje. Dla mera najważniejsze są jednak lokalne miejsca pracy, a to daje perspektywę reelekcji, więc jeśli inwestycja je zapewnia, lokalne władze są zwykle bardzo pomocne.

Jakim państwem będzie Ukraina po wojnie? Wolnorynkowym?

Będzie musiała wypracować własny model gospodarczy. Jest tu silne poczucie wolności jako zasady życiowej, ale jednocześnie poziom biurokracji bywa zaskakujący. Prawo jest niezwykle szczegółowe, a jego interpretacja często subiektywna. Można odnieść wrażenie, że przy ścisłym przestrzeganiu przepisów człowiek łamie jakieś regulacje, po prostu idąc chodnikiem. Dlatego kluczowe dla inwestorów będzie zbudowanie wiarygodnych, niezależnych instytucji, zwłaszcza sądownictwa. W sprawach drobnych roszczeń widać już poprawę: rozprawy są nagrywane, procedury przyspieszły, przestrzeń do nadużyć się zmniejszyła. Ale przy dużych inwestycjach nadal podstawowym pytaniem pozostaje bezpieczeństwo kapitału.

Czy Polska powinna się obawiać Ukrainy jako przyszłego członka UE?

To dokładnie tak, jakbyśmy zadali Niemcom to samo pytanie o Polskę jeszcze przed naszym wejściem do Unii. Myślenie w kategoriach obawy jest błędne. Zamiast się zastanawiać, czego się bać, powinniśmy myśleć o tym, jak możemy w tym pomóc. Ukraina w UE to nie zagrożenie, tylko potencjalne rozszerzenie wspólnej przestrzeni gospodarczej, w której Polska może odegrać bardzo istotną rolę.

A na ile Ukraina jest w ogóle gotowa, politycznie i mentalnie, na integrację z Unią?

Najważniejsze jest to, że w świadomości ogromnej części społeczeństwa – ok. 80 proc. – nie ma alternatywy. Nie ma drogi na Wschód. Jedynym realnym, dyskutowanym kierunkiem jest Unia Europejska. I to nie jest projekt elitarny – Ukraińcy po prostu chcą do Unii. Oczywiście część przedsiębiorców może się obawiać kosztów dostosowania, regulacji i konkurencji na równych zasadach, ale to są obawy regulacyjne, a nie cywilizacyjne czy geopolityczne.

Czy pełne członkostwo jest w ogóle konieczne, żeby Ukraina została włączona gospodarczo do Europy? Pojawiają się

pomysły formuły norweskiej czy wcześniejszego włączenia do strefy celnej.

Formuła norweska działa dobrze w przypadku krajów bardzo bogatych, które stać na uczestnictwo w jednolitym rynku bez dostępu do pełnego mechanizmu decyzyjnego. Ale warto pamiętać, że sama UE nigdy nie była projektem jednolitym. Są państwa takie jak Dania, które zachowały własną walutę, mimo że są pełnoprawnymi członkami Wspólnoty. Fundamenty Unii są dwa: po pierwsze, zapobieganie wewnętrznym konfliktom, i po drugie, wspólne bogacenie się. Integracja zawsze była elastyczna i stopniowa.

Często pojawia się argument kulturowy i zasobów – rolnictwa, ziemi, konkurencji dla europejskich rolników. Jak to pan ocenia?

Ukraina jest kulturowo zdecydowanie bliższa Europie niż choćby Turcja. To nie jest wyłącznie kwestia gospodarki, ale też wartości i cywilizacyjnego zakotwiczenia. Jeśli chodzi o zasoby, to tak, Ukraina ma ogromny potencjał rolny. To oczywiście budzi obawy francuskich czy polskich rolników, bo oznacza konkurencję. Ale to nie jest argument przeciwko integracji, tylko argument za mądrą polityką przejściową. Dlaczego europejskie firmy – tak jak wcześniej Holendrzy inwestowali w Polsce – nie miałyby inwestować w Ukrainie? To naturalny proces, a nie katastrofa.

Czyli w dłuższej perspektywie Ukraina może być dla Polski tym, czym Polska stała się dla Niemiec?

Tak. I to jest bardzo prawdopodobny scenariusz. W gospodarce najważniejszym partnerem zawsze jest sąsiad. Jeśli sytuacja się ustabilizuje, Polska może się stać dla Ukrainy tym, czym Niemcy są dla nas: centrum koordynacji, transferu technologii, kapitału i know how. To nie jest wizja zagrożenia, tylko ogromnej szansy – pod warunkiem że będziemy ją postrzegać strategicznie, a nie emocjonalnie.

Co powinien zrobić polski przedsiębiorca teraz?

Powinien nawiązywać kontakty. Trzymać rękę na pulsie. Nie musi mieć jeszcze firmy w Ukrainie, ale może mieć już rachunek w banku, co zaoszczędzi mu wiele czasu w przyszłości. Tylko przestrzegam przed chodzeniem na skróty i wiarą we własne zdolności. W Ukrainie i w Polsce jest taki sam zwrot „na pewno”, ale w Ukrainie oznacza „być może”.

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

FOT. MAT. PRASOWE



Jarosław

Bełdowski

adiunkt w Szkole
Głównej Handlowej
w Warszawie,
wiceprezes
Kredobanku



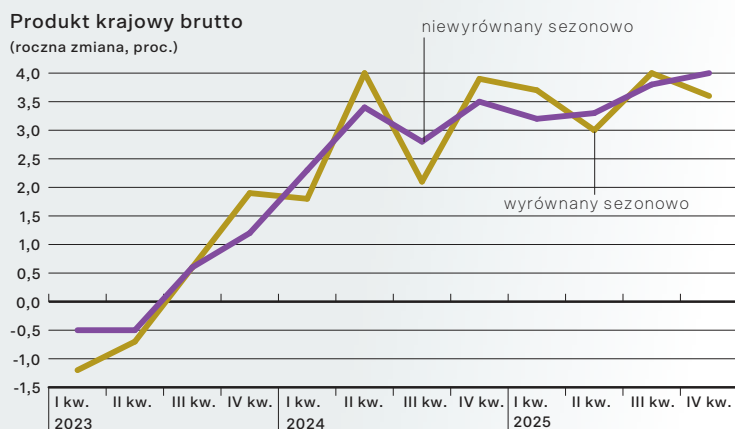
Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Wzrost PKB przyspieszył, czyli spowolnił

PKB w IV kw. realnie o 4 proc. wyższy niż rok wcześniej – to najnowsze dane GUS. Okazały się zgodne z oczekiwaniami analityków, którym było o tyle łatwiej z prognozowaniem, o ile GUS podawał już wcześniej wyniki gospodarki w całym 2025 r.: PKB urosł o 3,6 proc. Tempo wzrostu w końcówce ub.r. było najwyższe, odkąd gospodarka zaczęła wychodzić z pandemicznego dołka. Szczegółowe dane za IV kw. (ile wniosła konsumpcja, ile inwestycje) poznamy na początku marca. Opiswane wyniki to dane niewyrównane sezonowo. Wyrównanie sezonowe (pozwalające np. na porównania z innymi krajami) daje trochę inny obraz. PKB nadal szybko rośnie, ale akurat IV kw. wypadł pod tym względem nieco słabiej niż poprzedni.

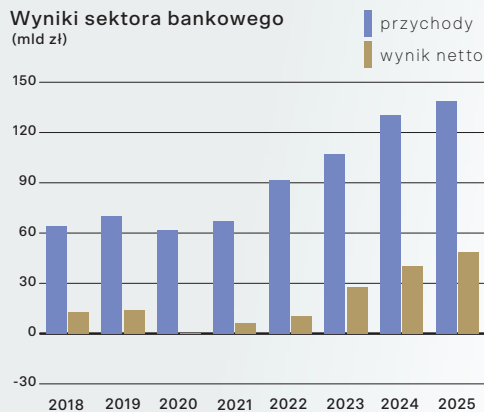


Źródło: Główny Urząd Statystyczny

RM ©©

Banki z zyskami jak nigdy

Ponad 48 mld zł wyniósł ubiegłoroczny zysk netto sektora bankowego – podał NBP. Wynik był o ponad jedną piątą lepszy niż rok wcześniej. Poprawa miała miejsce w warunkach spadających stóp procentowych. W poprzednich latach, gdy stopy



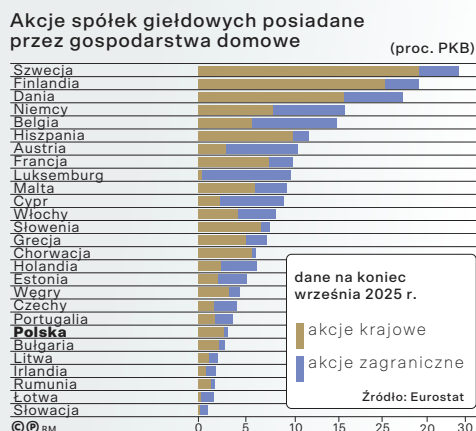
Źródło: Narodowy Bank Polski

RM ©©

były wysokie, przychody banków rosły w tempie dwucyfrowym. W 2025 r. podniosły się o 6,5 proc. W ujęciu nominalnym tak dobrego roku, jak miniony, nasz sektor bankowy jeszcze nie miał. Wyższa niż w poprzednich latach była również stopa zwrotu z kapitału. Wyniosła 15,1 proc. Ale tu nie ma dużej różnicy w porównaniu z 2024 r. – wtedy wzrost na kapitale (podstawowa miara rentowności, nie tylko w bankach) wyniósł 14,1 proc.

Polacy mają mało akcji

Ostatnie kwartały to czas dużej hossy na giełdach, co sprzyja poszerzaniu się grona inwestorów. Coraz częściej na giełdę zerkają również drobni gracze – tu pomocna jest również łatwość w inwestowaniu, jakiej jeszcze kilka lat temu nie



dane na koniec września 2025 r.

Źródło: Eurostat

©© RM

było. W końcu III kw. polskie gospodarstwa domowe miały akcje o wartości niespełna 120 mld zł (w porównaniu z poprzednim kwartałem był lekki spadek, ale w ciągu roku nastąpił wyraźny wzrost). W porównaniu z innymi nacjami „ekspozycja” Polaków na giełdę jest jednak niewielka. Jeśli spojrzeć na zaangażowanie w akcje w relacji do PKB, to tylko sześć krajów wypada gorzej.

©©

Kraj

Uniknąć surowcowego szantażu

To nie jest tak, że Chiny mają „geologiczny monopol” na większość surowców. Szacuję, że na poziomie samego wydobycia ich udział globalny wynosi zwykle 30–60 proc., ale etap przetwórstwa został w przeważającej części skoncentrowany w Chinach. I właśnie to jest dziś główny problem

Skoncentrowany boksyt i ruda żelaza w terminalu rudy w porcie Yantai, Shandong, Chiny

Z Krzysztofem

Galosem

rozmawia

Aleksandra Hołownia

Czwartego lutego w Waszyngtonie odbył się szczyt ponad 50 państw dotyczący surowców krytycznych. Czy to punkt zwrotny w podejściu do bezpieczeństwa surowcowego? Jesteśmy w bardzo ważnym momencie. Rozwijające się branże związane z odnawialnymi źródłami energii, transformacją cyfrową czy przemysłem obronnym potrzebują coraz większych ilości określonych surowców. Tymczasem przez ostatnie trzy dekady nastąpiła koncentracja produkcji tych surowców w Chinach. To nie przypadek. Już w latach 90. Państwo Środka uznało surowce za swoją strategiczną dźwignię, również geopolityczną. Zachód przez lata tego nie dostrzegał, trzymając się logiki wolnego rynku. Dziś udział Chin w globalnej produkcji wielu surowców krytycznych przekracza 70 proc., a w niektórych przypadkach nawet 90 proc. (pierwiastki ziem rzadkich, magnez, gal). Chiny zdominowały rynki wielu surowców dzięki niskim kosztom pracy i energii, a także wzięciu na siebie kosztów środowiskowych. Zachód chętnie z tego korzystał.



GOSPODARKA

Tylko że Chiny już kilkakrotnie pokazały pazury.

Chociażby względem Japonii. Tak, w 2011 r. ograniczenia eksportu pierwiastków ziem rzadkich z Chin, zwłaszcza do Japonii, i wywołany tym kilkakrotny wzrost ich cen były bardzo mocnym sygnałem. Chiny zaczęły używać swojej niemal monopolistycznej pozycji jako lewara politycznego. A narzucanie zasad na rynku surowców szybko przekłada się na kondycję i konkurencyjność innych dostawców tych surowców. Poza Chinami głównymi użytkownikami metali są państwa wysoko rozwinięte – Stany Zjednoczone, kraje Unii Europejskiej, Japonia oraz Korea Płd. Dziś każde z nich próbuje na swój sposób znaleźć rozwiązania ograniczające zależność od jednego dostawcy surowców krytycznych. Unia podjęła ten temat już w 2008 r., ale, niestety, od tamtej pory ten proces postępuje pomalą, jak to w Unii, choć w ostatnich dwóch latach przyspieszył. Stany Zjednoczone tradycyjnie podchodziły do tego tematu bardziej biznesowo, a mniej geopolitycznie. Jednak ostatni rok przyniósł duże przyspieszenie. Konferencja w Waszyngtonie była próbą wypracowania wspólnego stanowiska USA, UE i Japonii. Być może przystąpi do niego

też Korea Płd. Widać przy tym istotne różnice w podejściu Waszyngtonu i Brukseli do tworzenia wspólnych mechanizmów działania.

Na czym polegają te różnice? Stany Zjednoczone stawiają przede wszystkim na mechanizmy cenowe, w tym na wprowadzenie minimalnych cen surowców w połączeniu z odpowiednim mechanizmem ceł. Ma to zapewnić inwestorom w branży surowcowej gwarancję osiągnięcia opłacalności rozwoju nowych projektów. Dzięki temu amerykańskie firmy surowcowe będą w stanie utrzymać się na rynku, nawet gdyby Chiny próbowały go zalać tanimi surowcami. Dotychczas właśnie w ten sposób skutecznie eliminowały konkurencję.

Dumpingiem?

Tak, takie działania doprowadziły do co najmniej czasowego zatrzymania produkcji w wielu zakładach – m.in. w przypadku pierwiastków ziem rzadkich w amerykańskim Mountain Pass czy we francuskim La Rochelle. Zamknięto również liczne kopalnie grafitu na wielu kontynentach, bo firmy mogły korzystać z taniego surowca chińskiego. Krótkoterminowo było to korzystne dla odbiorców tych surowców, ale gdy później Chiny zaczynają dyktować ceny, sytuacja szybko odwraca się o 180 stopni. Wracając do różnic między USA a UE, europejskie podejście jest o wiele bardziej zniuansowane. Na razie jednak szczegóły tych rozwiązań pozostają przedmiotem naszych wewnętrznych prac, a nie publicznej debaty.

Jakich prac?

Na podstawie rozporządzenia ws. surowców krytycznych (Critical Raw Materials Act, CRMA) z 2024 r. powstała Europejska Rada ds. Surowców Krytycznych. Reprezentuję w niej Polskę, spotykamy się co najmniej kilka razy w roku. W 2011 r. w UE powstała pierwsza lista surowców krytycznych. CRMA okazało się dokumentem przełomowym – po raz pierwszy wyznaczyło szeroki katalog działań, jakie Unia Europejska powinna podjąć w tym obszarze, oraz nadało im solidną, instytucjonalną podstawę prawną. Obecnie trwają prace nad szczegółami wdrożenia regulacji, są one przygotowywane i konsultowane z państwami członkowskimi, a kluczową rolę odgrywają Komisja Europejska, jej wiceprzewodniczący Stéphane Séjourné oraz DG Grow [Dyrekcja Generalna ds. Rynku Wewnętrznego, Przemysłu, Przedsiębiorczości i MSP – red.]. W grudniu przedstawiono także plan RESourceEU, naturalną kontynuację CRMA. Pokazał on, w jakim miejscu się znajdujemy i jakie dodatkowe działania mogą wzmocnić realizację unijnych celów surowcowych.

Czym to europejskie podejście różni się od amerykańskiego? W Stanach działania są nieporównywalnie szybsze niż w UE. Przykładem jest uruchomienie przez

administrację prezydenta Trumpa inicjatywy Project Vault, ukierunkowanej na utworzenie strategicznej rezerwy surowców za 12 mld dol. W UE również mówi się o konieczności budowy zapasów, ale wciąż trwają dyskusje: kto miałby je tworzyć, na jakiej podstawie, z jakiego budżetu i w jakiej formie. Skala prawdopodobnie będzie też mniejsza, rezerwa obejmie węższą paletę surowców. Wdrażana jest budowa wspólnego portfela popytowego na wybrane surowce. Powołane zostanie unijne Centrum Surowców Krytycznych, które będzie się zajmować zapewne tymi zapasami, ale też monitorowaniem projektów strategicznych wg CRMA czy też rynku surowców krytycznych, czego w Europie z pewnością brakowało. Japonia ma znakomitą instytucję w tym zakresie – JOGMEC. Myślę, że UE chce iść jej śladem, tyle że 25 lat później.

Wicepremier Radosław Sikorski powiedział w Waszyngtonie, że „minerały krytyczne nie powinny być przedmiotem szantażu, a ich produkcja powinna być bardziej zróżnicowana geograficznie”. Czy już dziś jesteśmy szantażowani?

Myślę, że ostatni rok pokazał, że jest to możliwe w przypadku pierwiastków ziem rzadkich. W poprzednich latach miało to miejsce m.in. w przypadku galu czy germanu. Jeśli w Europie chcemy rozwijać branżę wiatrową, to wąskim gardłem są magnesy trwałe z kilkuprocentowym udziałem pierwiastków ziem rzadkich. Chińczycy o tych wąskich gardłach doskonale wiedzą. W niektórych obszarach zdominowali też cały łańcuch wartości – tak jest np. z fotowoltaiką.

Czym taka zależność różni się od wcześniejszej – od dostaw ropy czy gazu z Rosji?

Obecne wąskie gardła mogą blokować lub opóźnić rozwój konkretnych branż, w tym odnawialnych źródeł energii. Ale prądu z tych wiatraków, paneli fotowoltaicznych czy magazynów energii, które już wybudowaliśmy, nikt nam nie odetnie. W przypadku Stanów Zjednoczonych prezydentowi Trumpowi chyba w większym stopniu chodzi o dostawy surowców dla przemysłu obronnego. Pierwiastki ziem rzadkich są niesłychanie ważne także w elektronice, a wyspecjalizowane urządzenia elektroniczne są obecnie kluczowe dla zastosowań wojskowych. Bez nich trudno sobie wyobrazić współczesne pole walki.

Na ile chińska dominacja opiera się na naturalnych uwarunkowaniach, a na ile wynika ze strategii?

To nie jest tak, że Chiny mają geologiczny monopol na większość surowców. Szacuję, że na poziomie samego wydobycia ich udział globalny wynosi zwykle 30–60 proc. Wiele kopalni wydobywa się w Australii czy krajach afrykańskich, ale etap przetwórstwa – hutnictwa i rafinacji – został w przeważającej części skoncentrowany w Chinach. I właśnie to jest dziś główny problem, który coraz wyraźniej dostrzegają zarówno Unia

Europejska, jak i Stany Zjednoczone. Z drugiej strony warto podkreślić, że to Zachód sam wypychał ciężki przemysł, w tym hutnictwo, poza swoje terytorium – poprzez regulacje, polityki środowiskowe i czynniki ekonomiczne. W efekcie europejskich hut metali jest dziś znacznie mniej niż 30 lat temu. Na szczęście część z nich, także w Polsce, wciąż funkcjonuje, choć kwestie środowiskowe i koszty energii są dla nich dużym wyzwaniem. Postrzeganie sektora górniczego w Europie, w tym i w Polsce, jest od dłuższego czasu bardzo negatywne. Tymczasem społeczeństwo wydaje się nie dostrzegać, że niemal wszystko, co nas otacza, wymaga surowców (w tym ropy, a dokładniej wytwarzanych z niej tworzyw sztucznych, metali, surowców budowlanych itd.). Europejczycy nie chcą brudnego przemysłu, w tym kopalń, w swoim otoczeniu, ale to oznacza, że powstają one gdzie indziej – i tam ponoszony jest środowiskowy koszt, który faktycznie powinien obciążać także nas. Oczywiście sektor górniczy wiąże się z emisjami, odpadami i wpływem na wody, ale nowoczesne rozwiązania sprawiają, że wpływ ten może być parokrotnie niższy.

Jakie to technologie?

Zamiast tworzyć ogromne składowiska odpadów przerobionych coraz częściej lokuje się je ponownie pod ziemią. Realnym wyzwaniem pozostają zasolone wody kopalniane, jednak rozwijane są technologie ich odsalania. Kolejny obszar, w którym możliwe są znaczące usprawnienia, to w przypadku kopalń podziemnych ograniczenie osiadania terenu. Ryzyka i koszty wydobycia można również zmniejszyć poprzez szeroką automatyzację procesów, choć wiąże się to z tym, że przyszłe kopalnie nie będą już potrzebowały tysięcy górników – najwyżej setek.

W Polsce od 50 lat nie powstała żadna nowa kopalnia rud metali. Ostatnimi były kopalnia rud miedzi i srebra Rudna oraz kopalnia rud cynku i ołowiu Pomorzany, uruchomione w 1974 r. Jeśli powstanie kiedyś kolejna taka kopalnia, to będzie musiała kompleksowo zmierzyć się ze wszystkimi problematycznymi aspektami działalności wydobywczej i zastosować nowoczesne rozwiązania technologiczne.

Wspomniał pan o odpadach.

Obecnie z jednej strony pojawiają się inicjatywy wykorzystania hałd poprzemysłowych, aby odzyskać z nich surowce, a z drugiej – produkujemy coraz więcej odpadów, bo wykorzystujemy uboższe złoża.

To prawda. Wynika to ze względów technologicznych. Pół wieku temu normalnym poziomem zawartości miedzi w wydobywanej rudzie było 2 proc. Teraz jest to nawet 0,3 proc. W przypadku złota było to 2 g na tonę, a obecnie największa kopalnia złota w Australii eksploatuje rudę o zawartości 0,5 g złota na tonę. Aby pozyskać taką samą ilość metalu, trzeba wytworzyć, niestety, ➤



FOT. CFOTO/FUTURE PUBLISHING VIA GETTY IMAGES

większą ilość odpadów. Możliwość pozyskania metali ze starych odpadów górniczych i przeróbczych jest z tym częściowo powiązana. Potencjał jest zwłaszcza w odpadach zgromadzonych 200–300 lat temu, ponieważ zawartość metalu jest w nich niejednokrotnie większa niż we współcześnie eksploatowanych nowych złożach. Tylko że czasem są to małe hałdy, więc sięganie po nie niekoniecznie się opłaca. Jednak także w hałdach sprzed kilkudziesięciu lat zawartość metalu jest zbliżona do tego, co się współcześnie eksploatuje.

Jakie metale można odnaleźć w tych hałdach?

W Polsce podejmowane są próby odzysku cynku na bazie odpadów powstałych kilkadziesiąt lat temu. Myślę, że w zakresie miedzi potencjał istnieje także w starych zbiornikach poflotacyjnych. Kto wie, może kiedyś KGHM się nad nimi pochyli, choć zapewne jeszcze nie teraz.

Polska planuje także badania w ramach krajowego programu poszukiwań surowców krytycznych. Z czego wynika potencjał w tym zakresie? Z nieodkrytych dotychczas złóż czy eksploatacji tych, które kiedyś wydawały się nieopłacalne?

Chcemy, żeby projekt został zatwierdzony przez Radę Ministrów w najbliższych trzech miesiącach i uruchomiony w drugiej połowie tego roku. Swego rodzaju minus sytuacji w tym względzie w Polsce polega na tym, że wiele obszarów Polski jest bardzo dobrze zbadanych, oczywiście do pewnej głębokości. W czasach PRL na takie badania wykładano ogromne środki. Dlatego raczej trudno jest oczekiwać spektakularnych odkryć. Pojawiają się jednak przykłady surowców, którym w przeszłości nie poświęcano wystarczającej uwagi, a których znaczenie w ostatnich latach wyraźnie wzrosło.

Może pan podać przykłady? Chcemy sprawdzić potencjał dla grafitu. Warto też będzie popatrzeć nieco szerzej i głębiej na obszary, w których pierwsze ruchy zrobiono często jeszcze w latach 70., 80. czy nawet 90. Przykładem jest rejon Myszkowa i mineralizacja miedziowo-molibdenowo-wolfraowa. Trzecim obszarem są miejsca, gdzie wieki lub dekady temu była prowadzona eksploatacja, ale z różnych powodów została zaniechana. Przykład to rudy niklu koło Szklar czy mineralizacje barytowo-fluorytowe na Dolnym Śląsku. Do tego będziemy badać dodatkowe obszary potencjalnego występowania naszych sztandarowych surowców, czyli miedzi i srebra czy węgla kokowego. A także helu, którego, nieco przez przypadek, jesteśmy jedynym producentem w Unii Europejskiej.

Jak to „przez przypadek”? Hel jest odzyskiwany w instalacjach odazotowania gazu ziemnego w Wielkopolsce. Instalacja w Odolanowie ma już ok. 50 lat i dalej funkcjonuje, więc

W Polsce są podejmowane próby odzysku cynku z odpadów powstałych kilkadziesiąt lat temu. W zakresie miedzi potencjał jest w starych zbiornikach poflotacyjnych

jesteśmy producentem helu, który w Polsce jest zużywany w niewielkich ilościach, a przede wszystkim eksportowany do innych krajów Unii Europejskiej.

Wróćmy do programu poszukiwania surowców. Jakie będą jego etapy i kiedy może on się przełożyć na realne wydobywanie? To będzie długotrwały proces. Pierwszy jest etap poszukiwań. Tylko on jest zadaniem państwa. Efektem będzie pokazanie: „w tym obszarze nic nie znaleźliśmy, za to w tym drugim być może coś jest”. W ten sposób chcemy zachęcić inwestorów do drugiego etapu, czyli rozpoznania. Jest on mniej ryzykowny niż poszukiwanie, ale bardziej kosztowny. Prowadzi do trzeciego etapu, czyli udokumentowania złoża. Wtedy trzeba uwzględnić uwarunkowania lokalne, przestrzenne, społeczne czy środowiskowe – i upewnić się, czy jest szansa na powstanie kopalni pod określonymi warunkami. Dopiero wtedy można przygotować wniosek o koncesję na wydobywanie.

Ile to wszystko może potrwać? Prace w ramach krajowego programu poszukiwań zaplanowaliśmy do 2033 r., przy czym w pierwszej kolejności zajmujemy się obszarami uznanymi za priorytetowe – związanymi z poszukiwaniem dodatkowych źródeł miedzi, platynowców, grafitu, barytu, fluorytu, helu, węgla kokowego czy surowców skaleniowych. A później, od trzeciego roku realizacji planu, m.in. także rud wolframu, tytanu, wanadu, arsenu, bizmutu, strontu czy fosforu. W ostatniej kolejności będziemy szukać tego, czego najmniej spodziewamy się znaleźć – czyli m.in. koncentracji pierwiastków ziem rzadkich, galu, germanu, litu, berylu, boru, antymonu. W tych przypadkach perspektywy są albo bardzo słabe, albo prawie ich nie ma. Kolejny możliwy etap rozpoznania i przygotowania dokumentacji pod uzyskanie koncesji wydobywczej zajmuje zazwyczaj pięć, sześć lat, choć często trwa nawet 10 lat. Czasem koncesja wydobywcza nie jest nigdy wydawana. Kiedy wszystkie wymogi formalne są już spełnione, może zacząć się realna inwestycja górnicza, a to jest co najmniej kolejnych kilka lat. Czyli jeśli dziś znaleźlibyśmy miejsca, w których warto coś dalej rozpoznawać, to gotowy surowiec uzyskalibyśmy najwcześniej za kilkanaście lat. A należy zauważyć, że tylko niewielka część projektów geologiczno-górniczych się udaje – praktyka światowa pokazuje, że spośród rozpoznanych miejsc w najlepszym przypadku zrealizowany zostanie co 30., może co 20. projekt.

Resort środowiska przeprowadził już konsultacje projektu ustawy, która pomoże we wdrożeniu CRMA do polskich warunków. Kiedy zostanie przyjęta?

Myślę, że na przełomie lutego i marca będziemy gotowi, by projekt ustawy o zapewnieniu gospodarce krajowej dostępu do surowców, w tym surowców krytycznych, przedstawić na Stałym Komitecie Rady Ministrów. Mam nadzieję, że pod koniec marca lub na początku kwietnia powinien pojawić się on na posiedzeniu Rady Ministrów. Oczywiście zależy mi, by rozwiązania te weszły jak najszybciej w życie.

Jak pan widzi szanse na realizację celów CRMA, które odnoszą się już do 2030 r.? Zgodnie z nimi 40 proc. popytu powinno być realizowane przez przetwarzanie w Unii, 10 proc. z wydobywania, a 25 proc. z recyklingu. W dodatku od jednego dostawcy spoza Unii nie powinno pochodzić więcej niż 60 proc. dostaw jednego minerału.

W tym zakresie nie jest do końca jasne, z jakiego poziomu wychodzimy i jak liczymy te procenty. Czy te cele powinny być osiągnięte dla każdego surowca czy sumarycznie? Jeśli sumarycznie, to punktem wyjścia dla wydobywania jest 8 proc., w przypadku hutnictwa – 24 proc., a dla recyklingu – 12 proc. Nie zaczynamy więc od zera. Ale mimo wszystko kopalni w cztery, pięć lat się nie zbuduje, chyba że byłaby to niewielka kopalnia odkrywkowa. Aby wybudować nową kopalnię rud miedzi i srebra w Polsce, potrzebowalibyśmy zapewne ok. 10 lat, mając już wszystkie papiery. Tak więc nawet wzrost z 8 do 10 proc. w 2030 r. może się nie udać. Myślę, że spośród tych czterech celów najłatwiejszy do realizacji będzie cel dywersyfikacji.

Jakie są najważniejsze kierunki alternatywne do Chin?

Weźmy przykład głośniejszych medialnie pierwiastków ziem rzadkich. Może się okazać, że kolejne zakłady rafinacji pierwiastków ziem rzadkich powstaną w Azji Południowo-Wschodniej. Tam może to być możliwe w trakcie trzech lat, a w Europie może okazać się niewykonalne. Obecnie rafinacja pierwiastków rzadkich odbywa się w Chinach, w jednym zakładzie w Malezji i na niewielką skalę we Francji, a mały zakład jest uruchamiany w Estonii. Także Amerykanie próbują zbudować moce w tym zakresie. I to tyle. Więc nowe zakłady przetwórcze w wielu przypadkach na pewno będą potrzebne. Mam nadzieję, że jednym z nich jest planowana nowa rafineria pierwiastków ziem rzadkich

w Puławach, uznana za projekt strategiczny UE.

No właśnie, w ramach CRMA Unia Europejska zdecydowała do tej pory o wsparciu 47 projektów strategicznych na terenie UE i 13 projektów poza nią. One mają powstać szybciej.

Tak, proces inwestycyjny dla wielu spośród tych projektów, po uzyskaniu wsparcia finansowego, może ruszyć w ciągu jednego czy dwóch lat. W Europie najlepsze perspektywy widać jednak dla projektów recyklingowych.

Przykładem jest polski projekt, który trafił do grona strategicznych – zakład Polvolt grupy Elemental. W Zawierciu ma być prowadzony recykling baterii. W efekcie ma być możliwy odzysk metali i ich soli, w tym niklu, kobaltu, manganu, żelaza czy litu.

Mocno trzymam kciuki za projekt Polvolt, choć jest on śmiały i wymagający. Głównym wyzwaniem w tym przypadku pozostaje technologia. Niezbędne jest połączenie know-how technologicznego z rozwiązaniami akceptowalnymi środowiskowo i społecznie. Polska jest w tym momencie w zakresie recyklingu baterii litowo-jonowych w awangardzie europejskiej, mamy kilka zakładów uruchomionych w ostatnich latach, które z baterii mogą produkować tzw. czarną masę (Elemental, Waste Services, Eneris). Tylko że dotychczas czarna masa była wysyłana do Azji, głównie do Chin, a nie przetwarzana na pojedyncze metale w Europie.

Czyli Chiny są w stanie odzyskiwać metale z tej czarnej masy?

Tak, oni mają tę technologię i zdolności produkcyjne, ale nie jest pewne, jakie jest obecnie oddziaływanie tych instalacji na środowisko. To model działania Chińczyków – najpierw opracowują rozwiązania technologiczne, nawet jeśli odbywa się to kosztem środowiska, a później doskonalą je tak, żeby w mniejszym stopniu narażały środowisko. Elemental już ma osiągnięcia w zakresie recyklingu niektórych metali w zakładzie w Zawierciu. Uruchomili już duży odzysk platynowców z katalizatorów oraz instalację produkcji czarnej masy z baterii. Jeżeli teraz uda się też dojść do tego kolejnego etapu produkcji metali baterijnych z czarnej masy w zakładzie Polvolt, to będzie to naprawdę przełom na skalę europejską. Ten projekt jest więc bardzo poważnie traktowany przez Komisję Europejską. ©



Krzysztof Galos

profesor nauk ścisłych i przyrodniczych, podsekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, główny geolog kraju

SAFE. Rządzący wpadli w tajnozę

Chcemy tylko tyle i aż tyle, by polski podatnik, jeśli już ma spłacać pożyczki na zbrojenia (co jest oczywiście normalne), wiedział, co spłaca, komu i jak

Z Andrzejem

Śliwką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Jak Rada Bezpieczeństwa Narodowego wygląda z perspektywy debiutanta? Bardzo dobrze, że się odbyła. Te trzy sprawy, które prezydent wskazał nam do rozmów, są bardzo ważne. Przede wszystkim wiele pytań pojawia się wokół programu SAFE, ale bez wątplenia trzeba też wyjaśnić kwestię wschodnich kontaktów marszałka Włodzimierza Czarzastego. Z mojej perspektywy strona prezydencka była przygotowana bardzo profesjonalnie, rządowa – mniej, nad czym ubolewam.

Zaraz przejdziemy do konkretów. Ale chciałbym zapytać, czy te sześć godzin rozmów upłynęło pod znakiem awantury czy merytorycznej rozmowy? Czasem politycy po RBN mówią, że jak znikają kamery, to nie trzeba tańczyć tego codziennego tańca młócki politycznej... Powiem szczerze, że w sprawie instrumentu SAFE była to pierwsza taka okazja, żeby móc merytorycznie przedstawić swoje wątpliwości, zastrzeżenia i zadać pytania. Z odpowiedziami bywało różnie. Ale i tak było dużo lepiej niż na sejmowej komisji, gdy poseł Zembaczyński wyłączał nam po minucie mikrofon, czy w studiach telewizyjnych, gdzie w naturalny sposób rozmowa o szczegółach jest ograniczona. Przez pierwsze kilka godzin RBN zadaliśmy naprawdę sporo pytań. Dowodem na to, że było całkiem merytorycznie, jest to, że po posiedzeniu jeden z polityków koalicji rządzącej podszedł do mnie i powiedział, że mimo braku sympatii musi przyznać, że byliśmy dobrze przygotowani. (śmiech)

Cieszę się, że umiecie ze sobą rozmawiać, ale czy doszłście do porozumienia? Wymaga to pewnej refleksji u rządzących. Do tej pory instrument pożyczkowy SAFE był przedstawiany jako sukces, ale rządzący jakoś o szczegółach tego sukcesu nie chcą mówić, bo zamiast zaprezentować listę ogólną zadań, którą wysłali do Brukseli – nie mówiąc o jej konsultacji z prezydentem czy sejmową komisją obrony – utajnili ją. To nie jest spełnienie obietnicy



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Andrzej Śliwka, poseł na Sejm, PiS

Władysława Kosiniaka-Kamysza, który deklarował, że prace nad SAFE odbędą się z zachowaniem należytej staranności, przy udziale wszystkich stron sporu politycznego.

Siłą rzeczy nie znam tej listy 139 projektów, ale pan jako poseł komisji obrony mógł do niej zajrzeć. Zrobił pan to? Zrobiłem to, kiedy tylko lista trafiła do parlamentu – w połowie grudnia. Jako jeden z pięciu parlamentarzystów.

I co? Mam wiele pytań, których nie mogę zadać publicznie, bo niestety zostało to wszystko okryte mgłą tajemności.

I co? Znalazł pan tam tajny plan 139 projektów na rzecz niemieckiej gospodarki? Nigdy nie kwestionowałem i nie kwestionuję tego, że lwia część określonych tam zadań odpowiada potrzebom polskiej armii, ale musimy zadać pytania o priorytety. Czy wskazani wykonawcy mają określone zdolności, bazę techniczną, licencję i potencjał. Moje wątpliwości dotyczą gradacji ważności poszczególnych zadań i priorytetów zakupowych. Gdybyśmy zapytali na spokojnie gen. Kukułę lub gen. Kuptelę, czy gdyby mógł, to by na tej liście umieścił dwie eskadry F-35,

wyrzutnie Himarsy, kolejne baterie Patriot w ramach Wisły...

...tego w SAFE być nie może, bo nie zamknijemy takiej inwestycji w trzy lata. I nie w Europie. Niestety tak jest, ale na samym początku tworzenia programu rząd powinien podjąć poważną rozmowę z Komisją Europejską i z naszymi partnerami w UE o możliwości rozszerzenia programu. Zasadniczy problem był taki, że w sprawie SAFE rządzący wpadli w tajnozę. Są skupieni na propagandzie sukcesu. Na konkretne pytania na komisjach sejmowych nigdy nie uzyskałem konkretnej odpowiedzi od ministra Zalewskiego, ministra Niezgody czy pani minister Sobkowiak.

Na RBN było lepiej? Przez cały czas jest więcej pytań niż odpowiedzi. Wiemy, że nastawienie rządzących do warunkowości przyznawania środków z SAFE jest jednoznaczne – widzą to jako atut i szansę polityczną, co z polskiej perspektywy jest niebezpieczne. To po prostu niespecjalnie skrywany plan rządzących – blokada środków i kolaps na budżecie MON już w 2028 r., co może postawić nowy rząd pod ścianą. Ale skoro jesteśmy przy tym, to kolejny niewyjaśniony punkt dotyczy tego, z jakiej szufladki budżetu państwa mamy spłacać tę unijną pożyczkę.

Wicepremier Kosiniak-Kamysz odtrąbił tu sukces, że wykreślono MON z pierwotnego projektu ustawy. Klasyk w wykonaniu premiera Kosiniaka-Kamysza, dużo słów, mało realnego działania. Nie wpisano konkretnego zakazu korzystania z budżetu MON przy spłacie obsługi zadłużenia. To zadłużenie powinno być spłacane z części ogólnej budżetu, a nie z części szefa MON. Obsługa zadłużenia musi być wyjęta z budżetu MON i trzeba to zapisać precyzyjnie w ustawie, stąd nasze poprawki.

Dlaczego? Bo inaczej na początku 2028 r. po prostu zabraknie pieniędzy na bieżące wydatki: emerytury, pensje, wojskową służbę zdrowia, akademie wojskowe, na rozbudowę jednostek, plan modernizacji technicznej i wiele innych spraw. Już dziś zaczyna się problem – mamy o 300 mln zł mniej na badania i rozwój w wojsku. Minister Tomczyk chwali się operacją „Szpej”, a jest 400 mln zł mniej na ekwipunek i umundurowanie.

Ale przyzna pan, że pożyczka na zakup uzbrojenia to nic nadzwyczajnego. Sami pożyczaliście, gdy rządziście. I to na wyższy procent. Nikt nie krytykuje modelu polegającego na tym, by pozyskiwać środki na rynku kapitałowym poprzez emisję obligacji. Państwo to robi od lat i na różne potrzeby, nie jest to zaskakujące. My podnosimy w zakresie modelu SAFE kilka istotnych zastrzeżeń. O warunkowości już wspominałem, z czym zresztą już teraz mierzą się Węgrzy. Jednocześnie trzeba sobie jasno powiedzieć – rządzący mówią, że treści постано-

wień pożyczki i umowy nie są dziś znane, nie wiemy, na jakich warunkach będą podpisane.

Minister Sobkowiak mówiła na naszych łamach, że będzie to 3-4 proc. w skali roku. OK, ale 3 czy 4 proc.? W perspektywie lat to kilkanaście miliardów różnicy. Dla porównania w styczniu wyemitowaliśmy pięcioletnie obligacje na 2 mld euro z kosztem 2,96 proc., 10-letnie – z kosztem 3,74 proc. To konkurencyjna oferta.

Tylko tam harmonogram spłat jest dużo dłuższy. Nie ma problemu, by emitować obligacje o różnym tenorze, czyli okresie zapadalności. Minister finansów sam mówi, że jest dziś duży popyt na polskie obligacje. Ale nie skreślam niczego z góry – poprosiłem Ministerstwo Finansów o takie analizy porównawcze, minister Majczyk mówiła tylko, że mają roboczą analizę na wewnętrzne potrzeby. Nie były analizowane ryzyka, alternatywne scenariusze. MF nie przeprowadziło wstępnego rozeznania rynkowego popytu na polskie euroobligacje o tenorze 40-50 lat i skali kosztów, więc na jakiej podstawie rząd twierdzi, że rynkowa alternatywa nie istnieje?

Usłyszysz pan w odpowiedzi, że rząd PiS brał pożyczki na sprzęt w USA czy Korei na dwa razy gorszych warunkach albo nie ujawniał oprocentowania. Rynek obligacji i obsługa długu są bardziej skomplikowane, niż może się to politykom koalicji wydawać na pierwszy rzut oka. Trzeba porównywać gruszki do gruszek, inaczej zestawiamy kredyty koreańskie i amerykańskie z SAFE, który ma być w euro. To dwie różne metody. Inna waluta, inne stopy bazowe, inne koszty obsługi długu, inne ryzyko kursowe...

Koniec końców można oszacować koszty i je porównać. Ale właśnie o to chodzi – rząd tego nie zrobił. Bez tych zmiennych pachnie to wszystko manipulacją i przepychaniem kolanem. No i jeszcze jedna rzecz: koreańskie kontrakty miały termin dostawy na już, to był duży sukces Mariusza Błaszczaka, że czołgi K2, armatohaubice K9, wyrzutnie Chunmoo i lekkie myśliwce FA-50 z Korei trafiły do nas w zasadzie od razu. Wreszcie, czego nie mogą teraz zrobić z uwagi na tajność dokumentu, trzeba wziąć na warsztat konkretne zadania. SAFE jest ograniczony geograficznie, a tym samym zakupowo. Przy zakupie zawsze najistotniejsze powinny być: jakość, czas realizacji i oczywiście koszt. I, co równie ważne, żeby nie powiedzieć najważniejsze, żeby maksymalnie dużo pieniędzy trafiło do polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Nawet 89 proc. naszego kawałka tortu SAFE ma trafić do polskiej zbrojeniówki. Trzeba przypilnować tego, żeby były to podmioty z kapitałem polskim. Władysław Kosiniak-Kamysz i inni politycy koalicji rządzącej, gdy byli w opozycji, odmieniali przez

wszystkie przypadki „polski przemysł zbrojeniowy”. Dziś prezes PSL zdefiniował, że za polski pomysł uznaje spółkę działającą na prawie polskim, ale z dominującym kapitałem zagranicznym. To nie odpowiada definicji, która funkcjonowała wcześniej w przestrzeni publicznej. I tutaj składamy odpowiednią poprawkę, by sprawa była czysta.

„Zachowujecie się jak krypto-handlowcy innych państw”
– mówi do was Marcin Kierwiński, szef MSWiA.

To zabawne. Chciałbym, żeby minister Kierwiński ujawnił listę zadań MSWiA z programu SAFE i byśmy punkt po punkcie przeanalizowali, do jakich ośrodków te pieniądze trafiają. To nam sporo powie, kto jest czym krypto-handlowcem.

A może po prostu to rozkręci naszą gospodarkę, jak choćby zamówienia dla Huty Stalowa Wola, które są w SAFE.

Rozwój HSW to wielki sukces rządów PiS. Z dumą patrzę, jak po rządach Platformy wyprowadziliśmy tę spółkę na prostą i dzisiaj jest perełką europejskiego przemysłu zbrojeniowego. To dzięki rządowi PiS do seryjnej produkcji weszły Kraby i Borsuki. Ale nie złapię się na to pytanie, bo ministrowie Kierwiński i Siemoniak czyhają, żeby wyciekło coś z tajnego dokumentu i żeby mogli postawić mi zarzuty. Ten temat byłby zamknięty, gdyby lista zadań została opublikowana, tak jak choćby w Rumunii.

Podsumowując, PiS będzie za tym instrumentem czy przeciw?

Oczekujemy wprowadzenia bezpieczeństwa, które są w naszych poprawkach. Chcemy też precyzyjnej informacji na temat tego, ile dokładnie pieniędzy z programu SAFE trafi do Ukrainy i na jakich warunkach. Mówi się o 10 mld zł, ale ważne jest pytanie, co premier Tusk ustalił w tej sprawie z prezydentem Zełenskim. Nie udzielono kompleksowej informacji. My w PiS chcemy tylko tyle i aż tyle, by polski podatnik, jeśli już ma spłacać pożyczki na zbrojenia (co jest oczywiście normalne), wiedział, co spłaca, komu i jak. Trudno głosować za projektem ustawy, która nie uwzględni zabezpieczenia interesów polskiego przemysłu zbrojeniowego, nie odrzuci warunkowości i nie zadba o budżet MON w perspektywie kolejnych lat.

A ten ostatni punkt RBN? Włodzimierz Czarzasty wrzucił zdjęcie z kefirem i napisał, że ustawka się nie udała.

Druga osoba w państwie nie powinna mieć zaburzonej percepcji. Uważam, że Włodzimierz Czarzasty powinien lepiej czytać to, co się wokół niego dzieje w ostatnich tygodniach.

Naprawdę milczał, gdy go pytaliście o jego kontakty? Siedzieliście tak, mówiąc do ściany?

Niech odpowiedź będzie moje milczenie. Gdybym panu powiedział w szczegółach, co działo się na RBN, ministrowie Siemoniak i Kierwiński by mi nie darowali. (śmiech) ©

Świat

Sąsiedzka rewolta

Opór społeczny przeciwko operacji ICE w Minnesocie zmusił Donalda Trumpa do korekty kursu. W tle są sygnały, że republikanie tracą poparcie wyborców

Emilia

Świętochowska

Od ponad miesiąca wysłużona Toyota Corolla Sama i Bena Luhmannów podąża za agentami federalnymi w Minneapolis niczym cień. Co rano bracia przeczesują kolejne dzielnice, by w przenikliwym mrozie dokumentować największą w historii kampanię antyimigracyjną. Nagrywają, jak zamaskowani mężczyźni wyciągają z samochodów ludzi o ciemniejszym kolorze skóry i rozpryskują gaz pieprzowy w kierunku mieszkańców protestujących przeciwko brutalnym działaniom. Spisują numery rejestracyjne podejrzanych aut i rozsyłają alerty na komunikatorach. W chaosie nerwowych konfrontacji zdarza im się czasem uchwycić jakąś komiczną scenę. Filmik, na którym pędzący w stronę demonstranta agent pośliznął się na lodzie i z hukiem wylądował na ziemi, stał się internetowym hitem.

Po zakończeniu patrolu 16-letni Sam i 17-letni Ben wracają prosto do lekcji – obaj uczą się w systemie edukacji domowej. Do Minnesoty przybyli z oddalonego o siedem godzin jazdy Chicago, które znalazło się w centrum ofensywy ICE (Immigration and Customs Enforcement) we wrześniu 2025 r. To właśnie wtedy mama po raz pierwszy zabrała ich ze sobą w teren. Bracia tak bardzo zaangażowali się w rolę watchdogów, że przekonali rodziców, by puścili ich do Minneapolis, które po Nowym Roku najechało 2 tys. funkcjonariuszy imigracyjnych. Dzień po zastrzeleniu Renee Good przez agenta ICE byli już świadkami, jak ciężko uzbrojone bataliony zamieniają miasto w terytorium okupowane. Matka chłopców

tłumaczyła dziennikowi „Minnesota Star Tribune”, że postrzega ich misję jako „obywatelski staż”, podkreślając, że na miejscu czuwają nad nimi krewni i przyjaciele. I choć ciągle się martwi o bezpieczeństwo synów, to jest dumna z ich odwagi.

Pospolite ruszenie obywatelskie

Sam i Ben są częścią pospolitego ruszenia, które w ostatnich tygodniach przeciwstawiło się rozzuchwalonej agresji służb federalnych. Polowania na cudzoziemców wywołały powszechny odruch solidarności. Tysiąc dodatkowych funkcjonariuszy przysłanych przez Waszyngton nie wystraszył mieszkańców, tylko podgrzał buntownicze nastroje. Na chodnikach i parkingach spontanicznie wyrastały patrole sąsiedzkie. Wokół szkół dyżurowały ochotnicze komitety rodzicielskie. Restauracje i nieformalne spółdzielnie sąsiedzkie organizowały dostawy posiłków dla ukrywających się rodzin imigranckich. Wszędzie, gdzie pojawiały się nieoznakowane SUV-y z przyciemnionymi szybami, zaraz wybrzmiewał pisk klaksonów i gwizdków ostrzegający innych przed obecnością ICE.

Ponieważ służby traktowały miejskich wolontariuszy jako intruzów zakłócających misję organów ścigania, coraz więcej interwencji prowadziło do nerwowych konfrontacji. W internecie każdy mógł zobaczyć sceny, w których funkcjonariusze obezwład-



FOT. GINA M. RANDAZZO/ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/REX FEATURES/EAST NEWS

Demonstranci przed Trump Tower na Manhattanie. Nowy Jork, 31 stycznia 2026 r.

nają i powalają na asfalt protestujących wykrzykujących: „ICE out”.

Przybywało też doniesień, które podważały rządową narrację ukazującą operację w Minnesocie jako wielką obławę na imigranckich kryminalistów nazywanych przez Donalda Trumpa „najgorszymi z najgorszych”. Ogromna większość z przeszło 4 tys. cudzoziemców aresztowanych na terenie stanu nie miała na koncie żadnego wyroku. Razem z imigrantami bez uregulowanego pobytu w aresztach osadzano ludzi, którzy nie powinni się tam znaleźć – np. Wenezuelczyków oczekujących na rozstrzygnięcie sprawy azylowej, którym sądy przyznały ochronę przed deportacją. Na przesłuchania trafiali rdzenni Amerykanie i posiadacze ziolo-



nych kart oraz uchodźcy zakorzenieni w USA od wielu lat. Czarni i latynosczyści – w tym policjanci poza służbą i miejscy urzędnicy – byli nagminnie nagabywani o dokumenty. Zdarzały się nawet przypadki umieszczania w ośrodkach detencyjnych rodziców z małymi dziećmi. Uosobieniem bezdusznego podejścia ICE stała się historia Liama Conejo Ramosa, pięcioletniego Ekwadorczyka zgarniętego na podjeździe przed własnym domem, gdy wracał z przedszkola. Razem z ojcem wywieziono go do obozu przejściowego w Teksasie, mimo że obaj są w toku postępowania azylowego. Sąd nakazał natychmiastowe wypuszczenie ojca i syna, zarzucając służbom „traumatyzowanie dzieci” i kierowanie się „żądzą nieograniczonej władzy”.

Po tym jak 24 stycznia agenci Straży Granicznej zabili Alexa Prettiego, administracja nie mogła już dłużej ignorować fermentu w Minnesocie. Sondaże pokazywały, że poparcie dla działań agentów imigracyjnych słabnie z tygodnia na tydzień. Ich metody potępiali już nie tylko zwolennicy demokratów – coraz częściej odrzucali je także wy-

borcy niezależni, którzy w dużej mierze przesądzi o wygranej Donalda Trumpa w newralgicznych, wahających się stanach, takich jak Arizona i Pensylwania. W badaniu Ipsos/Reuters blisko dwie trzecie z nich stwierdziło, że ICE posuwa się za daleko. Nawet w twardej elektoracie republikanów dało się zauważyć zachwianie nastrojów. Po zastrzeleniu Prettiego odsetek osób, które negatywnie oceniały taktyki funkcjonariuszy, wzrósł z 20 do 30 proc. Po raz pierwszy w tej kadencji Donald Trump i jego obóz napotkali masowy, zorganizowany opór, który zmusił ich do korekty kursu.

Lewica: wypalenie i marazm

Przez cały 2025 r. administracja parła do przodu jak rozpędzony buldożer: zwalniała rzesze federalnych urzędników, paraliżowała niezależne instytucje, rozmieszczała żołnierzy na ulicach amerykańskich miast, wysyłała imigrantów do megawięzienia dla terrorystów

w Salwadorze, napuszczała prokuraturę na swoich krytyków, a innych zasypywała wielomilionowymi pozwami...

Wichrzyciele, którzy zaatakowali Kapitol 6 stycznia 2021 r., zostali hurtowo obdarowani ułaskawieniami. Gdy prawnicze środowiska piał z zachwytem nad bezlitosnym odwetem na przeciwników, druga strona odpowiadała w swoim stylu – gniewnymi pohukiwaniami w mediach społecznościowych i manifestacjami pod progresywnymi sztandarami. Jedyne, co mogło skłonić Trumpa do zmiękczenia tonu, to gwałtowna reakcja rynków finansowych – jak w kwestii zaporowych ceł nałożonych w „dzień wyzwolenia” na prawie cały świat. W innych sprawach nie było głosów sprzeciwu, które musiałyby potraktować poważnie.

Zarówno wśród polityków, jak i sympatyków lewicy dominowały wypalenie i marazm. Po druzgocącej porażce wyborczej demokracji w Kongresie oddali się samobiczowaniu i wewnętrznym starciom. Miesiącami dywagowali nad źródłami fenomenu MAGA, zlecając sążniste raporty, które miały wyjaśnić, kto pogrążył Kamalę Harris – młodzi

mężczyźni czy białe matki z przedmieść? Gdy prezydent i jego ekipa przejmowali kolejne obszary państwa, liderzy demokratów powtarzali te same zaklęcia o niekonstytucyjnych praktykach, którymi nieudolnie próbowali zatopić pierwszą kadencję Trumpa. Nie mieli żadnej strategii na najbliższe cztery lata, a tym bardziej pomysłu na to, jak odbudować poparcie w klasie pracującej, która w ostatnich wyborach wyraźnie przechyliła się na konserwatywną stronę. Liberalni aktywiści, którzy w 2016 r. dali początek ruchowi #Resistance, przekonując, że pierwsze zwycięstwo Trumpa było jedynie przejściową anomalią systemu, udali się na wewnętrzną emigrację. Potencjał żyrowanych milionami dolarów akcji lobbujących i kampanii profrekwencyjnych się wyczerpał. I nikt już nie wierzył, że uświetnione występami celebrytów moralne oburzenie może powstrzymać autorytarny pochód MAGA. Co prawda protesty pod hasłem „No Kings”, wyrażające sprzeciw wobec absolutystycznych zapędów prezydenta, przyciągnęły w czerwcu i październiku 2025 r. po ok. 5 mln uczestników, to jednak nie przerodziły się w politycz- ➤

na siłę zdolną nadkruszyć fundamenty trumpizmu. Komentatorom szczególnie rzuciła się w oczy skromna frekwencja wśród młodych ludzi, którzy w historii USA często stanowili awangardę zrywów przeciwko władzy: według badania YouGov do demonstracji przyłączyło się zaledwie 8 proc. Amerykanów z pokolenia Z, podczas gdy w grupie 65+ zmobilizowało się 13 proc. osób.

Sąsiedzi z Signala

Ruch oporu, z którym administracja zderzyła się w Minnesocie, to fenomen wymykający się znanym dotąd formom buntu przeciwko administracji. Nie wpisuje się gładko w narrację progresywnistów ani żadną gotową agendę partyjną czy ideologiczną. Nie napędzają go przelewy od czołowych sponsorów lewicy ani diatryby establishmentu kulturowego. To oddolna mobilizacja oparta na samopomocy i wspólnotach lokalnych: grupkach sąsiedzkich, radach rodziców, stowarzyszeniach kościelnych, klubach seniorów. Wbrew karykaturalnej opowieści przedstawicieli Białego Domu ludzie ci nie są zawodowymi agitatorami, a tym bardziej – jak sugerował wiceprezydent J.D. Vance – częścią globalnej lewicowej siatki sabotującej kampanię masowych deportacji. To nauczyciele i pielęgniarki, specjaliści od marketingu i pracownicy socjalni, naukowcy i barmani. Nie mają przywódcy ani komitetu sterującego. Nie lansują się na swojej działalności w mediach społecznościowych. Gdy agenci federalni zaczęli nacierać na Minneapolis, po prostu skrzyknęli się przez Signala w poczuciu sąsiedzkiej troski. Niektórzy patrolują ulice samochodami, tropiąc szlaki konwojów ICE. Inni pielgrzymują po osiedlach z gwiazdami na szyi, którymi w razie potrzeby ściągają posiłki. Obecni na miejscu reporterzy opisują miasto jako poligon nieustającego protestu. Największym pokazem solidarności lokalnej był strajk generalny z 23 stycznia, gdy dziesiątki tysięcy osób przerwały pracę i naukę, a setki sklepów i punktów usługowych zamknęły swoje drzwi.

Choć ze względu na rosnące ryzyko przemocy wielu mieszkańców przeszło szkolenie, jak dokumentować naloty migracyjne bez narażania się na konsekwencje, to raczej nie nazwaliby siebie aktywistami. Typowy schemat działania jest prosty: gdy agenci próbują ko-

nąć dane o lokalizacji przez zaszyfrowany czat i wzywają wsparcie. Kiedy jedni żądają od funkcjonariusza przedstawienia nakazu sądowego i próbują ustalić tożsamość zatrzymanego, drudzy filmują. Interakcje te nierzadko obracają się w słowne utarczki, a te w przepychanki – zwłaszcza gdy wolontariusze blokują drogę lub filmują interwencje ze zbyt bliskiej odległości. Służby twierdzą w takich sytuacjach, że protestujący utrudniają im egzekwowanie przepisów migracyjnych, a tym samym przekraczają granice pierwszej poprawki do konstytucji, która gwarantuje wolność słowa i zgromadzeń.

Minnesota to również modelowy przykład tego, jak społeczna odporność może działać w praktyce. Od momentu inwazji agentów federalnych wielu imigrantów nie wychodzi z domów. Frekwencja na lekcjach gwałtownie spadła, zwłaszcza po nagłośnieniu incydentów z zatrzymywaniem dzieci w drodze do szkoły. Z powodu niedoboru pracowników część restauracji skróciła godziny otwarcia lub musiała w ogóle zawiesić działalność. Właściciele mówią o stratach rzędu setek tysięcy dolarów, porównując obecną sytuację z czasami pandemii COVID-19. Kaohly Her, mer Saint Paul, stolicy stanu, opowiadała, że w imigranckich dzielnicach sklepy zanotowały 60–70-procentowy spadek obrotów. Operacja ICE przyczyniła się też do zakłóceń w łańcuchach dostaw – z obawy przed konfrontacją z funkcjonariuszami kierowcy bez amerykańskich paszportów rezygnują z tras do Minnesoty.

Dlatego duża część lokalnej aktywności skupiła się na zbudowaniu kanałów wsparcia, które zapewnią rodzinom imigranckim przetrwanie do czasu uspokojenia sytuacji. Armie ochotników, parafie i komitety rodzinne organizują regularne dostawy żywności. Szkoły oferują uczniom nauczanie zdalne. Na platformach społecznościowych mnożą się zbiórki pieniędzy dla tych, którzy z powodu postępu w pracy zalegają z czynszem lub ratą kredytu. Kółka sąsiedzkie dowożą na wizyty lekarskie. W jednej z jadłodajni w Minneapolis powstało nawet ambulatorium polowe.

Theda Skocpol, profesor socjologii z Uniwersytetu Harvarda, w rozmowie z portalem Vox zwraca uwagę, że choć tego rodzaju inicjatywy pojawiały się też w innych miastach objętych operacją ICE, „przypadek Minneapolis wy-

kracza poza wszystko, co widzieliśmy gdzie indziej”. „To Kościoły, wspólnoty sąsiedzkie i oddolne sieci społeczne jako pierwsze ruszyły do pomocy” – podkreśla. I dodaje, że duża w tym zasługa mocno osadzonej w Minnesocie skandynawskiej kultury obywatelskiej (ok. 43 proc. mieszkańców stanu ma nordyckie korzenie – najwięcej w całych USA).

Legalne i etyczne

Początkowo nic nie wskazywało na to, że Trump zrobi krok wstecz. Krótko po zabójstwie Alexa Prettiego szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Kristi Noem oświadczyła, że agenci Straży Granicznej działali w obronie koniecznej, bo 37-latek groził im bronią. Stephen Miller, najbliższy doradca prezydenta, nazwał go zamachowcem. Kiedy kolejne nagrania obalały rządową wersję zdarzeń, gospodarz Białego Domu odwołał z funkcji dowódcę kampanii w Minnesocie szefa Straży Granicznej Gregory'ego Bovino, który twierdził, że agresywne taktyki są „legalne, etyczne i moralne”. Jego miejsce zajął nazywany carem granicy Tom Homan. Jeszcze tego samego dnia Departament Bezpieczeństwa Krajowego ogłosił wycofanie z Minnesoty 700 agentów. – Zrozumiałem, że czasem warto zastosować trochę łagodniejsze podejście, choć wciąż trzeba być stanowczym. Mamy do czynienia z przestępcami, naprawdę niebezpiecznymi przestępcami – stwierdził Trump w rozmowie z NBC News.

Znany z twardej linii Homan poświęcił walce z nielegalną imigracją ponad 30 lat swojej kariery. Gdy kierował pionierem deportacji ICE w administracji Baracka Obamy, z kraju wydalał rekordowe liczby imigrantów. Jako szef agencji w pierwszej kadencji Trumpa zaprojektował i wcielił w życie politykę rozdzielania rodzin, którą okrzyknięto drakońską i nieludzką. Ekspertsi przewidują, że może powściągnąć najbardziej kontrowersyjne elementy dotychczasowej polityki – takie jak naloty w stylu akcji oddziałów szturmowych – ale nie należy się spodziewać diametralnej zmiany strategii. Szczególnie że 2 tys. agentów nadal stacjonuje w Minnesocie.

Do republikanów na Kapitolu powoli zaczyna docierać, że brutalna operacja może się srogo odbić na jesiennych, śródkresowych wyborach do Kongresu (tzw. midterms). Ze strachu przed odwetem Trumpa ogromna większość z nich wystrzega się retoryki, która mogłaby zostać odebrana jako krytyka Białego Domu, ale w ostatnich tygodniach niektórzy zaczęli meandrować. Dystansowali się do praktyk ICE i przyznania immunitetu funkcjonariuszom, którzy zastrzelili dwoje protestujących, jednocześnie deklarując pełne poparcie dla planów deportacyjnych prezydenta. Jest jednak coraz więcej sygnałów frustracji wśród wyborców – nie tylko z powodu przemocy w Minnesocie, lecz przede wszystkim niespełnionej obietnicy okiełznania drożyzny. Dwa tygodnie temu w wyborach uzupełniających do stanowego senatu Teksasu wygrał Taylor Rehmet. Kandydat demokratów zdobył mandat w konserwatywnym okręgu. W 2024 r. Trump zwyciężył tam z przewagą 17 pkt proc. ©

Rewolucja

Co się zmieni w międzynarodowej pozycji Węgier, jeśli opozycyjnej partii TISZA rzeczywiście uda się wygrać wybory?

Dominik

Héjj

Na dwa miesiące przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech sondaże wciąż dają większe szanse na zwycięstwo partii TISZA pod wodzą Pétera Magyar. Polityka, który do lutego 2024 r. pozostawał beneficjentem systemu tworzonego przez Fidesz. Dopiero sprawy prywatne – rozwód z minister sprawiedliwości Judit Vargą, utrata zaufania w partii i idący za tym brak możliwości realizacji własnych aspiracji politycznych – doprowadziły do podjęcia przez niego decyzji o wejściu na samodzielną drogę polityczną. Węgrzy będą więc wybierać głównie między prawicą a prawicą.

O rezultacie zdecydują wyborcy niezdecydowani. W zależności od sondażu jest to do ok. 30 proc. uprawnionych do głosowania. Chociaż sympatyzujące z Fideszem sondażownie stale upewnniają rządzących w poczuciu, że zwycięstwo jest pewne. Według ustaleń z opozycyjnego portalu 444.hu w Fideszu panuje jednak świadomość, że TISZA faktycznie prowadzi w sondażach. Dziennikarz ustalił także, że Viktor Orbán ma świadomość, iż partia ma ogromny problem z mobilizacją wyborców. W samych strukturach nastroje są też złe. Fidesz trzy razy z rzędu mógł być spokojny o wyborczy rezultat, tym razem jest inaczej. Dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi dotarł do wewnętrznego sondażu Fideszu, z którego wynika, że przewaga TISZA nad partią rządzącą wynosi 10 pkt proc. (41:31 proc.).

Nowe stare Węgry

Jeżeli może dojść do politycznej zmiany, to jakie mogłyby być te nowe Węgry? Choć ewentualna przegrana Viktora Orbána po 16 latach nieprzerwanego rządów wydaje się rewolucją, prawdziwej – nie tylko personalnej – rewolucji prawdopodobnie nie będzie. Pojawiają się też głosy, że TISZA nie może proponować radykalnych zmian, bo nikt na to środowisko nie zgłasza. Przemilczenie części tematów ma być elementem świadomej strategii unikania konfrontacji. Całkowite wywrócenie stolika jest zbyt przerażającą wizją dla co najmniej części potencjalnych wyborców, przede wszystkim tych, którzy pozostają zwolennikami Fideszu. I właśnie do nich Péter Magyar na początku lutego wystosował swój apel. Wezwał ich do oddania głosu właśnie na TI-

Jak zostać agentem migracyjnym



Czytaj też

Mnożą się pytania o przygotowanie agentów do pracy operacyjnej. Ross nie był nowicjuszem. W służbach migracyjnych – najpierw w Straży Granicznej, potem w ICE – spędził ponad dekadę, a w czasie wojny w Iraku brał udział w patrolach bojowych. Jest członkiem wyspecjalizowanej jednostki taktycznej wysyłanej do wymagających operacji, ale nie do kontroli drogowej. Może to wyjaśniać błędy popełnione w dniu wydarzenia – podręczniki nakazują funkcjonariuszom unikać stawiania na torze jazdy samochodu oraz strzelania do poruszających się aut. ©

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Najechani przez własny rząd”, DGP nr 15 z 23 stycznia 2026 r.

mocno ograniczona



FOT. ATTILA KISBENEDEK/AFP/EAST NEWS

Peter Magyar, lider TISZA,
na wiecu w Budapeszcie,
15 lutego 2025 r.

SZĘ. Gwarantował im przy tym niezmienną nabytych przywilejów. Magyar powtarza, że rządzący porzucili swoje ideały. Trudno interpretować te słowa inaczej niż obietnicę skierowaną do obywateli: we mnie znajdziecie dawne ideały Fideszu.

Obserwatorzy węgierskiej polityki z dystansu pozostają zachwyceni wizją zmian. Wydaje się jednak, że pokładane w Magyarze nadzieje w największej mierze opierają się na wizji pokonania Orbána. Publicyści piszący o Péterze Magyarze zwracają uwagę na jego proeuropejskość. Tylko czy ona w ogóle istnieje?

Wewnętrzne sprawy zagraniczne

Jak czytamy w opublikowanym w ostatnią sobotę programie TISZA, partia zamierza potwierdzić zaangażowanie Węgier na rzecz Unii Europejskiej i NATO, a także porządku opartego na prawie międzynarodowym.

To prawda, w Parlamencie Europejskim TISZA zasiada w największej frakcji – Europejskiej Partii Ludowej – tak jak... Fidesz przez dwie dekady. Magyar opowiada się za silnymi państwami narodowymi w Unii Europejskiej, odrzuca tym samym koncepcję federalizacji. Pod tym względem niczym nie różni się od Viktora Orbána. Odrzuca politykę migracyjną UE i system kwotowy, tak jak Orbán.

Co ich różni? Péter Magyar deklaruje niezwłoczne przyłączenie do Prokuratury Europejskiej. W instytucji tej pokłada ogromne nadzieje na rozliczenie rządów Fideszu, np. w kontekście zmian w węgierskim systemie sądownictwa, który był po 2010 r. wielokrotnie przekształcany, często tak, by służyć partyjnym interesom.

Wydaje się także pewne, że w Prokuraturze Europejskiej Magyar upatruje przynajmniej przejściowego zawieszenia procedury mechanizmu warunkowości, który został wprowadzony w 2022 r. Ra-

da Unii Europejskiej zamroziła Węgrom pieniądze z uwagi na to, że system sprawiedliwości nie daje rękojmi właściwej ochrony wydatkowania środków unijnych. Wpuszczając europejską instytucję, ewentualny premier chce zagwarantować przejrzystość postępowań. Z pewnością będzie także podejmował daleko idącą współpracę z Europejskim Urzędem ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF), co także ma wesprzeć nowych rządzących w rozliczaniu Fideszu. Kluczowe jest jednak odblokowanie środków unijnych. W grze jest jeszcze ok. 10 mld euro, które mogłyby pracować na rzecz rozwoju Węgier.

W kwestiach europejskich warto zwrócić jeszcze uwagę na podejście partii do sprawy ukraińskiej. O ile Fidesz jest całkowicie przeciwny akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej, o tyle TISZA odrzuca tylko przyspieszoną ścieżkę. Orbán z Magyarem różnią się także w temacie przystąpienia do strefy euro. Obecny premier kilkakrotnie zmieniał zdanie w tej kwestii, obecnie stoi na stanowisku, że temat ten w ogóle nie będzie brany pod uwagę, dopóki jest premierem. Z kolei TISZA chce rozpoczęcia eksperckich i publicznych konsultacji w sprawie przyjęcia euro. Partia chce realizacji polityki dążącej do spełnienia kryteriów konwergencji, m.in. utrzymania deficytu budżetowego na poziomie poniżej 3 proc. Warto wiedzieć, że sami obywatele są nastawieni do wspólnej waluty o wiele bardziej entuzjastycznie niż Polacy. Według Eurobarometru z sierpnia 2025 r. 67 proc. Węgrów uważa, że euro byłoby dla ich kraju czymś pozytywnym. 41 proc. wprowadziłoby wspólną walutę jak najszybciej, a kolejne 37 proc. poparłoby przynajmniej wyznaczenie daty docelowej.

Właśnie do wyznaczenia tej daty zobowiązuje się lider TISZA.

TISZA zapowiada odbudowanie relacji regionalnych – głównie w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Wiele uwagi poświęca się odbudowaniu przyjaźni polsko-węgierskiej, która została – tu cytując – „zrujnowana”. Poza wspólnym „politycznym romantyzmem” istotą tych relacji stanowić ma ewentualna pomoc polskich władz w uzyskaniu natychmiastowego dostępu do unijnych środków (a więc skopiowanie polskiego wzorca z grudnia 2023 r.).

Polska może też stanowić świetne zaplecze dla dywersyfikacji dostaw energii na Węgry – przede wszystkim skroplonego gazu, który mógłby docierać do naszych portów i być transportowany nad Dunaj interkonektorem przez Słowację.

W programie czytamy też, że Węgry odrzucają wojnę (terminologia łożąca z tą używaną przez Fidesz). TISZA deklaruje nie tylko, że nie wyśle żołnierzy „na wojnę rosyjsko-ukraińską, ani na żadną inną wojnę”, lecz także, że nie wprowadzi obowiązkowego poboru do wojska. W temacie NATO TISZA zapowiada odbudowę wzajemnego zaufania z partnerami w Pakcie Północnoatlantyckim, a także podniesienie wydatków na brojenie z obecnych 2 proc. do 5 proc. PKB, co ma zostać osiągnięte do 2035 r.

W samym programie padają głównie ogólne – bez map drogowych, które pozwoliłyby chociaż określić prawdopodobieństwo zmian. Możemy przeczytać np. o tym, że ugrupowanie jednoznacznie opowiada się za Europą, „ponieważ ze względu na położenie geopolityczne Węgier możemy wybierać tylko między Europą a Rosją”. „Przyłączmy się ostatecznie do Zachodu!” – piszą autorzy.

Fidesz oparł całą politykę zagraniczną po 2010 r. na koncepcji państwa-pomostu. Uznał, że współpraca z różnymi państwami, także w formatach potencjalnie się wykluczających (równocześnie z UE, USA, Chinami), jest możliwa z uwagi na szczególną pozycję Węgier w regionie. Uznano, że pochodzenie Węgrów wywołujące się od ludów turek (jest to koncepcja paranaukowa) umożliwia budowanie pomostów między szeroko rozumianym Wschodem (m.in. z Turcją) a Zachodem.

Problem w tym, że z programu TISZY nie dowiemy się, jaka ma być nowa rola Węgier w Europie czy świecie poza tym, że będzie to państwo merytoryczne, współpracujące i godne zaufania. Że nowe władze nie wykluczają współpracy z nikim, ale będą bardziej asertywne, podkreślając węgierski interes (tu pada zarzut o reprezentowanie przez Orbána interesów Rosji czy Chin zamiast własnego państwa). Ten brak koncepcji makro, dalekosiężnej strategii może być odstręczający dla części niezdecydowanych wyborców. Viktorowi Orbánowi udało się zwrócić z klasycywnym paradygmatem średniego, nieznaczającego państwa. To, bez względu na koszty polityczne jego decyzji, wzbudza przynajmniej u części Węgrów dumę.

Miałkość programowa TISZY najprawdopodobniej będzie sprzyjała utrzymaniu status quo. Z pewnością na wstępie – na bazie mandatu Europejskiej Partii Ludowej – zostaną ułożone relacje z Unią Europejską. W relacjach z USA

nastąpiłoby pewne ochłodzenie, jednakże z uwagi na zaangażowanie kapitału amerykańskiego na Węgrzech kontakty miałyby zostać utrzymane przynajmniej na przyzwoitym poziomie. Natomiast TISZA z pewnością oczekiwałaby nadchodzących wyborów za Wielką Wodą (midterm), a docelowo – wyborów prezydenckich w 2028 r.

Energetyka i własne interesy

Otwarty pozostanie temat stosunków z Moskwą. Dziś ich podstawą są kwestie energetyczne. Po zakupem węglowodorów z Rosji tamtejszy Rosatom buduje elektrownię atomową w Paks. TISZA deklaruje, że po dojściu do władzy przeprowadzi audyt, a potem podejmie decyzję o kontynuacji bądź odstąpieniu od realizacji tej inwestycji. Pretendująca do funkcji szefowej resortu dyplomacji Anita Orbán (zbieżność nazwisk przypadkowa) w jednym z wywiadów zadeklarowała, że „Rosja nadal będzie ważnym aktorem w węgierskiej dyplomacji, ale Węgry muszą zasiąść do stołu negocyjnego, reprezentując własne interesy narodowe, a nie po stronie Rosji”. Według planów partii do 2035 r. Węgry uniezależnią się od rosyjskich węglowodorów. Jaka jest alternatywa, nikt nie mówi.

Anita Orbán to interesująca postać. W latach 2010–2015 pełniła funkcję Ambassador-at-Large (ambasadora w misji specjalnej) ds. bezpieczeństwa energetycznego Węgier. W swojej pracy wielokrotnie przestrzegała przed uzależnieniem od rosyjskich węglowodorów. Pozostawała zwolenniczką rozwijania połączeń energetycznych północ-południe pomiędzy państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Po odejściu z rządu pracowała na kierowniczych stanowiskach w międzynarodowych koncernach, m.in. w Tellurian LNG London, londyńskim oddziale amerykańskiej firmy handlującej skroplonym gazem ziemnym. W spółce tej była wiceprezesem ds. międzynarodowych. Od 2021 r. pracowała w Vodafone Hungary na stanowisku wiceprezesa ds. relacji korporacyjnych, następnie w 2023 r. związała się z Grupą Vodafone, w której pełni funkcję dyrektora ds. relacji z otoczeniem (Public Affairs) i środowiska, społeczeństwa i ładu korporacyjnego (ESG). W ramach swoich obowiązków odpowiada m.in. za kontakt z rządami krajowymi. Na ile Anita Orbán będzie mogła wdrożyć elementy swojej polityki, czy Péter Magyar sprowadzi ją do roli wykonawcy planów premiera? Odpowiedzi nie sposób obecnie ustalić. Pytanie też, czy TISZA nie zostanie w polityce zagranicznej zakładnikiem innych obietnic, dotyczących wręcz zwiększenia socjalnego wsparcia dla swoich zwolenników (w myśl hasła „Na rządach TISZY tylko zyskanie”). Odpowiedź powinna przyjść w drugiej połowie maja. To wówczas, po potencjalnym zwycięstwie w kwietniowych wyborach parlamentarnych, Magyar wraz ze swoim gabinetem będą składać przysięgę. Zgodnie z zapowiedziami w pierwszą podróż wybiera się do Polski. Podobnie w latach 2010 i 2014 postąpił Viktor Orbán. ©

Walne zwycięstwo nad skrajną prawicą?

Wygrana António José Segury w wyborach prezydenckich to zasługa doraźnej unii politycznej. Przyszłość Portugalii zależy od tego, czy pojawi się odpowiedź na realne problemy społeczeństwa bez uciekania się do nacjonalizmu, wykluczenia i pomysłów demontażu państwa

Krzysztof

Katkowski

Do drugiej tury wyborów prezydenckich w Portugalii – która odbyła się w zeszłą niedzielę z opóźnieniem z powodu orkanów i wywołanych przez nie powodzi – stanęli kandydaci socjalistów António José Seguro oraz André Ventura, lider populistyczno-prawicowej partii Chega (Dosyć!). Ostatecznie szóstym prezydentem Portugalii został Seguro, i to z rekordowym poparciem na poziomie ponad 68 proc. głosów (przy 50,1-proc. frekwencji), co bywa przedstawiane jako wielkie zwycięstwo bloku demokratycznego i odpowiedzialności za państwo.

Niespodziewany sukces

Jeszcze niedawno nikt się tego nie spodziewał. Dwa lata temu, po wyborach parlamentarnych 11 marca 2024 r., w Portugalii zakończyła się ośmioletnia dominacja lewicy. Zwycięstwo odniosła centroprawicowa Partia Socjaldemokratyczna (PSD) pod przywództwem Luísa Montenegry, zdobywając 29,5 proc. głosów i 79 mandatów. Drugie miejsce – z wynikiem 28,7 proc. i 77 mandatami – zajęła rządząca dotąd Partia Socjalistyczna. Trzecia była Chega, która uzyskała rekordowe 18,1 proc., co dało jej 48 mandatów.

Wysoki wynik Chega – ugrupowania skrajnej prawicy, na poziomie europejskim związanego z Fideszem Viktora Orbána i popierającego jego antyukraińską politykę – oznaczał wzmocnienie odwołującej się częściowo do tradycji dyktatury Salazara i prowadzącej ksenofobiczną retorykę skrajnej prawicy. Jej sukces tłumaczono zmęczeniem społeczeństwa rządami socjalistów, aferami korupcyjnymi, frustracją ekonomiczną oraz skuteczną mobilizacją młodych wyborców. I wrócono, że w wyborach prezydenckich antyestablishmentowe nastroje wezmą już zdecydowaną górę.

Chega zmobilizowała dotychczasowych niegłosujących oraz osoby dotknięte kryzysem. Dała im nadzieję na inną politykę. Jej sukces wynikał m.in. z tego, że nie tylko nigdy

nie rządziła, lecz także nie wchodziła w kompromisy z rządem. W przeciwieństwie do lewicy.

Trudna historia społeczeństwa

Kryzys portugalskiej lewicy ma jednak swoje źródła jeszcze w czasie światowego kryzysu finansowego z lat 2007–2008. Krajem rządziła wówczas Partia Socjalistyczna pod przywództwem José Sócratesa. Wprowadzono programy obejmujące ratowanie banków, obniżki płac oraz cięcia wydatków społecznych przy jednoczesnym zwiększeniu inwestycji publicznych – zgodnie z wytycznymi Unii Europejskiej. Model ten załamał się około 2010 r. Rok później władzę przejęła prawica. Okres jej rządów wiązał się z głęboką polityką oszczędnościową, obejmującą deregulację rynku pracy, ograniczenie praw pracowniczych, prywatyzację usług publicznych oraz wzrost podatków. Skutkiem była pauperyzacja dużej części społeczeństwa, osłabienie systemu zabezpieczeń społecznych oraz wzrost zależności rodzinnych. W przeciwieństwie do Grecji w Portugalii nie doszło do trwałego wzrostu mobilizacji społecznej, co ograniczyło presję na zmianę polityki.

W 2015 r. Partia Socjalistyczna, kierowana przez António Costę, utworzyła gabinet przy wsparciu Bloku Lewicy i Partii Komunistycznej. Było to pierwsze takie porozumienie po rewolucji 1974 r. Radykalna lewica zgodziła się poprzeć rząd w zamian za częściowe cofnięcie cięć, przywrócenie świąt państwowych i podniesienie płacy minimalnej. Jednocześnie kluczowe problemy, takie jak reforma prawa pracy czy restrukturyzacja długu, zostały odłożone na później i nigdy nie zostały rozwiązane. Porozumienie, pierwotnie planowane na rok, trwało cztery lata. Ugrupowania lewicowe nie koordynowały strategii między sobą, komunikując się wyłącznie z Partią Socjalistyczną. Umożliwiło to tej ostatniej kontrolę procesu negocjacyjnego i osłabiło pozycję ich partnerów.

Rząd Costy zahamował tempo zubożenia społeczeństwa, przywrócił część świadczeń i elementy progresji podat-

kowej, lecz poziom inwestycji publicznych pozostał niski, prawo pracy praktycznie nie zostało zmienione, a sektor publiczny był chronicznie niedofinansowany. Prekaryzacja postępowała, a wiele strategicznych sektorów pozostało sprywatyzowanych. Kwestia zadłużenia zniknęła z debaty publicznej.

W wyborach w 2019 r. Partia Socjalistyczna wzmocniła swoją pozycję, komuniści zaczęli tracić poparcie, a Blok Lewicy znalazł się w defensywie. Jak podaje część ekspertów, socjaliści skutecznie przejęli lewicowy elektorat.

Rządy Costy zakończyły się po aferze korupcyjnej, która ostatecznie okazała się oparta na... błędnej identyfikacji osób. Mimo to premier podał się do dymisji, a prezydent zdecydował się roz�isać nowe wybory. W tym momencie do głosu doszła Chega – mówiąca o walce z korupcją i z „hipokrytami z lewicy”.

Kryzys goni kryzys

Równolegle narastał kryzys mieszkaniowy. Niski udział mieszkań publicznych, rozwój turystyki, inwestycje funduszy oraz program złotych wiz doprowadziły do gwałtownego wzrostu cen najmu. Średni czynsz zaczął przewyższać przeciętne wynagrodzenie. Problem wykluczenia mieszkaniowego i bezdomności stał się jednym z głównych źródeł niezadowolenia społecznego. Tu Chega zrobiła ciekawy ruch: owszem, zrzuciła winę na imigrantów, ale tylko tych... niemówiących po portugalsku. Wielu pochodzących z Brazylii, którzy posiadają portugalskie obywatelstwo, głosuje na Chega, broniąc się przed napływem innych migrantów.

Szybki wzrost Chega, potwierdzony wynikiem w wyborach parlamentarnych z 2024 r., symbolizuje głębokie zmiany zachodzące w portugalskim społeczeństwie oraz kryzys modelu demokracji po rewolucji goździków – jednego z najbardziej progresywnych systemów konstytucyjnych w Europie. Przez dekady scena polityczna była przesunięta w lewo, a silną pozycję zachowywały partie socjalistyczne i komunistyczne. Model ten sprzyjał rozbudowie państwa opiekuńczego i ograniczaniu nierówności, szczególnie do początku XXI w. Kryzys finansowy z 2008 r. i program oszczędnościowy narzucony przez trojkę w 2011 r. pogłębiły problemy społeczne. Mimo częściowego cofnięcia reform oszczędnościowych systemy ochrony zdrowia, edukacji i inwestycji publicznych pozostały niedofinansowane. Powiększyły się nierówności, a różnica między zapisanymi w konstytucji prawami społecznymi a ich realną realizacją stawała się coraz bardziej widoczna. W tym kontekście Chega zaczęła się przedstawiać jako ruch radykalnej zmiany. Jej program opiera się na połączeniu nacjonalizmu, autorytaryzmu i neoliberalizmu gospodarczego. Partia promuje ograniczanie sektora publicznego, prywatyzację i cięcia wydatków, twierdząc, że to właśnie rozrost państwa sprzyja korupcji. Według jej narracji mniejsze państwo ma być bardziej uczciwe i efektywne, a problemy społeczne ma-

ją zostać rozwiązane przez mechanizmy rynkowe.

Chega koncentruje swoją kampanię na walce z korupcją, przedstawiając cały system polityczny jako skorumpowany i oderwany od obywateli. W ten sposób buduje wizerunek ugrupowania antyestablishmentowego, mimo że jej lider, André Ventura, wywodzi się z głównego nurtu polityki. Retoryka ta trafia szczególnie do wyborców rozczarowanych tradycyjnymi stronnictwami. Partia korzysta również z faktu, że portugalskie społeczeństwo cechują niski poziom zaufania instytucjonalnego i ograniczone zaangażowanie obywatelskie. Frekwencja wyborcza przez lata spadała, a wielu obywateli pozostawało biernych politycznie. Chega potrafiła zmobilizować część tych osób, oferując im prostą narrację winy i obietnicę radykalnej odnowy.

Po wyborach w 2024 r. André Ventura odrzucił koniec tradycyjnego systemu dwupartyjnego. Mimo że inne ugrupowania odmawiają jej udziału we władzy, Chega stała się trwałym elementem sceny politycznej. Jej obecność przesunęła debatę publiczną w prawo, zmuszając pozostałe partie do reagowania na jej postulaty.

Co z tym establishmentem?

Wzrost poparcia dla Chega świadczy o realnym zapotrzebowaniu społecznym na reformy. Problem polega na tym, że kanałem dla tej potrzeby stała się partia, której wizja stoi w sprzeczności z demokratycznym i egalitarnym dziedzictwem rewolucji goździków.

W zeszłą niedzielę portugalską centrolewicę uratował więc nie program socjalistycznego kandydata, lecz dziwny sojusz. Przed drugą turą wyborów prezydenckich Segurę zdecydowała się poprzeć centroprawica, aby zablokować zwycięstwo Ventury. Konserwatyści podkreślali, że chodzi o obronę liberalnych i demokratycznych wartości przed jego ultranacjonalistyczną polityką. Jednocześnie jednak pochodzący z centroprawicy premier Montenegro odmówił oficjalnego poparcia któregośkolwiek z kandydatów, co wywołało falę krytyki i zostało odczytane jako próba utrzymania poparcia najbardziej konserwatywnej części elektoratu.

Politolodzy ostrzegają jednak, że decyzja centroprawicy może paradoksalnie wzmocnić Venturę, pozwalając mu przedstawiać się jako jedyne antysystemowe kandydata walczącego z elitami.

Po ogłoszeniu wyników wyborów, przed północą, prezydent elekt wygłosił swoje pierwsze przemówienie do obywateli. Zapewnił, że będzie służył narodowi z zaangażowaniem, nawiązał do swoich poprzedników, podkreślając jednak, że będzie miał własny styl. Ma on polegać na tym, że będzie zadawał trudne pytania, domagał się przejrzystości i wysokich standardów etycznych. Dodał, że nie zamierza osłabiać rządu ani dążyć do przedterminowych wyborów parlamentarnych. Zapewne rozumie, że tym razem mogłoby się nie udać wygrać z Chega. ©

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

3 miesiące gratis w zimowej promocji

Twój dostęp
do eksperckiej wiedzy.



Sprawdź zimową ofertę!
dgp.pl/prenumerata

*dot. oferty DGP Premium na 6 miesięcy

Sushi przyprawione trumpizmem

Na pozór w Kraju Kwitnącej Wiśni niewiele się zmieniło. Japonią nadal rządzi Partia Liberalno-Demokratyczna kierowana przez Sanae Takaichi. Ale to prawdopodobnie początek nowego etapu – dla państwa, dla regionu, a może i dla świata

Witold

Sokała

Wyborów prezydenckich brak, bo głową państwa jest cesarz. Ma co prawda ogromny autorytet, ale jego kompetencje sprowadzają się do spraw czysto symbolicznych. Realną władzę dysponują premier i podlegli mu ministrowie, więc w Japonii kluczowe są wybory do parlamentu. Szczególnie do izby niższej, czyli Izby Reprezentantów, bo to do niej szef rządu występuje o wotum zaufania, tam decydują się losy ustaw. Izba Radców (wyższa) ma swój udział jedynie w desygnowaniu kandydata na premiera, a potem może próbować korygować proces legislacyjny. Ale to w Izbie Reprezentantów znajduje się środek ciężkości tego systemu, który dekady temu narzucili Japonii zwycięscy alianci, wzorując się w dużym stopniu na rozwiązaniach brytyjskich.

Izba ta ma teoretycznie czteroletnią kadencję, ale bywa ona skracana, gdy tylko partia rządząca dostrzeże w tym korzyść. Tak stało się i tym razem: pełniąc funkcję premiera zaledwie od paru miesięcy Sanae Takaichi zagrała *va banque*, aby potwierdzić i wzmocnić swe przywództwo. Udało się nad podziw: jej ludzie zdobyli w ostatnią niedzielę aż 351 z 465 mandatów (w tym 315 sama Partia Liberalno-Demokratyczna, a resztę jej koalicjanci z Partii Innowacji). To rekord w historii nowoczesnego parlamentarizmu w Japonii, a także zapowiedź łatwego obalania weta Izby Radców. To również możliwość zmiany pisanej w zupełnie innych uwarunkowaniach konstytucji.

LDP, czyli pies ogrodnika

Od roku 1955, czyli od ukształtowania się systemu nazywanego niekiedy „półtorapartyjnym”, japońska polityka gabinetowa toczy się z grubsza wedle dość przewidywalnego schematu. Najpierw wygrywa Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP od angielskiej wersji nazwy), czyli konserwatywna obyczajowo i względnie liberalna ekonomicznie

prawica. Potem ma spore problemy ze spełnieniem wyborczych obietnic, okresowo także z wiarygodnością i uczciwością liderów. Sondaże pikuja, a partii grozi wyborczy krach. Zmienia więc kierownictwo, potępia błędy i ogłasza nowy początek. Świeżo wybrany szef partii zostaje premierem. Opozycja tymczasem dba, żeby trend sondażowy się odwrócił – robi takie rzeczy i zajmuje się tak trzeciorzędnymi dla obywateli sprawami, że miliony Japończyków przy najbliższej okazji mimo wszystko znów oddają głos na LDP. Ta zdobywa większość, samodzielnie albo z uległym koalicjantem... i cykl zaczyna się od nowa.

Poważne zakłócenie miało miejsce tylko dwa razy. W 1993 r. wyłoniła się koalicja anty-LDP, która zdołała porządzić trzy lata. W 2009 r. centrolewicowa Partia Demokratyczna samodzielnie zdobyła aż 308 mandatów w izbie niższej, a LDP kierowana wówczas przez premiera Tarō Asō, dziś wiceprzewodniczącą partii, tylko 119 (poprzednio miała ich 296). W 2012 r. LDP powróciła do władzy. Wyborcy brutalnie ocenili „dokonania” demokratów (brak sukcesów w obiecywanym rozpędzeniu gospodarki, nieudolne reakcje na katastrofalne tsunami, trzech premierów w krótkim czasie, w dodatku niezbyt udanych). Od tej pory to LDP utrzymuje ster krajowej polityki w swoich rękach, choć dawna japońska potęga gospodarcza i technologiczna to już tylko mit. Na co dzień Japonii doskwierają spadek inwestycji, ogromne zadłużenie i wzrost kosztów utrzymania. Niepokoją wskaźniki demograficzne, a w ostatnich latach do problemów społeczno-ekonomicznych doszło ryzyko w sferze bezpieczeństwa. Poprzedni rząd LDP, kierowany przez Shigeru Ishibę, nie radził sobie z tym koktajlem tak bardzo, że jesienią ubiegłego roku stracił większość w obu izbach, co groziło zepchnięciem partii do ław opozycji po raz trzeci. Reakcją były – jak zazwyczaj – szybkie wewnętrzpartyjne wybory, potem nastąpiło przetasowanie gabinetu i pracowite ciułanie głosów w parlamencie. Tamten kryzys wyniósł do władzy – najpierw nad partią, a w chwilę po-



Premier Japonii Sanae Takaichi na konferencji prasowej w siedzibie LDP. Tokio, 9 lutego 2026 r.

tem także nad rządem i nad państwem – Sanae Takaichi jako pierwszą w historii Japonii kobietę na tak wysokich stanowiskach. I możliwe, że był już ostatnim z serii. Od tej pory LDP jest bowiem słabsza niż jej lider.

Sanaekatsu

W kraju wciąż dalekim od równouprawnienia płci, a w dodatku w partii reprezentującej bardzo konserwatywne odłamy japońskiego społeczeństwa i pełnej jawnych mizoginów, kobieta ma małe szanse na rolę liderki. Pani Takaichi się udało dzięki uporowi, talentom i odrobinie szczęścia. Japonka chętnie porównuje się do Margaret Thatcher i nie ukrywa, że „żelazna lady” to jej wzór. Też wywodzi się z klas niższych i obiecała swej partii złagodzenie nadmiernie elitarnego wizerunku. Mówi jasno i konkretnie o sprawach, które dotyczą przeciętnego wyborcy, a nie tylko członków zarządów wielkich firm. Też stawia na szybkie, stanowcze, wręcz brutalne działania. I też nie cierpią jej miejscowe radykalne feministki, nazywając niekiedy „mężczyzną honoris causa”.

Istotna różnica jest natomiast taka, że pani Thatcher miała na starcie fatalną prasę i gdyby nie dar od losu w postaci argentyńskiego ataku na Falklandy, pewnie szybko straciłaby władzę pod ciężarem wewnętrznych problemów. Natomiast Japonka jest dzisiaj gwiazdą mediów i celebrytką. Nawet ludzie zupełnie niezainteresowani polityką naśladują jej wybory modowe i gastronomiczne, a różowy długopis, którym robiła notatki w parlamencie, stał się bohaterem virali i memów. Zdominowała media społecznościowe dzięki filmikom, na których przemawia do robotników z dachu ciężarówki, wybija na perkusji rytmy hitów K-Popu (wspólnie z prezydentem Korei Południowej Lee Jae Myungiem) albo śpiewa urodzinową piosenkę dla premier Włoch Giorgii Meloni. Na portalu X tuż przed wyborami miała ponad 2,6 mln obserwujących (lider opozycji Yoshihiko Noda – 40 razy mniej). 64-letnia polityczka została nagle idolką młodego pokolenia. Wśród wyborców przed 30. rokiem życia jej popularność przekroczyła w pewnej chwili 90 proc. Wśród wszystkich oscylowała ostatnio na poziomie 60 proc., czyli była dwukrotnie wyższa niż notowania samej LDP.

Trudno się dziwić, że komentatorzy zaczęli mówić o zjawisku „sanaekatsu” (czyli „sanaemania” lub „modzie na Sanae”). I o de facto prezydenckim modelu uprawiania przez panią Takaichi polityki, podważającym tradycyjne zasady systemów parlamentarno-gabinetowych, nokautującym wszystkich tych, którzy próbują



FOT. FRANCK ROBICHON/POOL/EPA/PAP

Ekonomia i odpowiedzialność

To jest oczywiście populizm, ale bardzo nowocześnie profilowany i skutecznie realizowany. Moraliści i zwolennicy innych opcji politycznych, zwłaszcza tych lewicowych, mogą się do woli oburzać, ale to Sanae Takaichi niemal samodzielnie wyrwała swoją partię znad przepaści, dała jej pewnie parę lat względnie stabilnego rządzenia, a przy okazji narzuciła swoje narracje innym ugrupowaniom. Oczywiście, są przed nią teraz strome schody, ale pani premier chyba ma niezły pomysł, jak się po nich wspinać.

Pierwszy blok problemów to wewnętrzna polityka ekonomiczna. Przedwyborcze recepty Takaichi budziły poważne wątpliwości wielu ekspertów, także tych nawiązujących do klasycznego liberalizmu, a rynki wykazywały sceptycyzm. Tuż przed niedzielą elekcją jen osłabł wobec dolara, co interpretowano jako skutek obaw, że planowane obniżki podatków przy jednoczesnym ambitnym planie wydatków rządowych nie zostaną efektywnie zrekompensovane, a japońskie finanse publiczne, od dawna w kiepskim stanie, mogą ulec poważnej destabilizacji. Po ogłoszeniu wyników wyborów rynki nagle wykazały jednak duży optymizm. Prawdopodobnie doceniły stabilność polityczną uzyskaną przez państwo, przedstawiając ją ponad wcześniejsze obawy przed wzrostem deficytu. A to może mieć charakter samospełniającej się prognozy. Tym bardziej że Takaichi zapowiada „ponadpartijne debaty” na temat harmonogramu reformowania podatków i zabezpieczenia społecznego (czytaj: „tak, podzielię się odpowiedzialnością polityczną za to, co i tak nieuniknione”), ale też cięcia istniejących dotacji dla mniej perspektywicznych sektorów (duch Margaret Thatcher z aprobatą kiwa głową). Rząd zamierza też zmienić podejście do planowania budżetu, aby „usprawnić długoterminowe finansowanie inwestycji korporacyjnych w preferowanych obszarach wzrostu”.

Z oporem społecznym grup, które stracą na reformach, rząd mający tak silny mandat poradzi sobie pewnie z łatwością. Trudniej będzie z międzynarodowymi rynkami finansowymi, ale tylko jeśli faktycznie sprawdzą się najczarniejsze przewidywania co do skutków zarządzenia restrykcyjnej polityki fiskalnej. W wariantach optymistycznych i pośrednich, długofalowo, plan ożywienia gospodarki może się natomiast powieść.

Ofensywna samoobrona

Ewentualny kryzys można zaś po drodze zamaskować... groźbą wojny (pamiętają państwo Falklandy?). Zagrożenie ze strony coraz mniej przewidywalnego reżimu północnokoreańskiego oraz coraz bardziej ekspansywnej Chińskiej Republiki Ludowej już dawno sprawiło, że część japońskiej klasy politycznej serio traktuje postulaty pożegnania z pacyfistycznymi zasadami będącymi efektami traumy II wojny światowej (oraz dawno nieaktualnych oczekiwań społeczności międzynarodo-

wej). Co prawda formalnie Japonia nadal – na mocy swej konstytucji – wyrzeka się zarówno prawa do prowadzenia wojny, jak i posiadania sił zbrojnych, ale już od ładnych kilku lat konsekwentnie przekształca swoje „siły samoobrony” w armię i flotę o pełnej funkcjonalności i wysokim poziomie gotowości bojowej. Budżet wojskowy oraz ofensywne zdolności wywiadowcze dynamicznie rosną, a japońskie okręty, samoloty i pododziały sił lądowych biorą udział w manewrach wspólnie ze swymi odpowiednikami amerykańskimi, brytyjskimi, australijskimi, filipińskimi czy indyjskimi. Po wzmocnionych wyborczym sukcesem rządach Sanae Takaichi łatwo się spodziewać kontynuacji tego kursu – a wręcz jego znaczącego przyspieszenia. I przy okazji dyplomatycznych złośliwości pod adresem Pekinu, który musi przełknąć gorzką pigułę – bo jego próby doprowadzenia do międzynarodowej izolacji „japońskich militarystów i nacjonalistów” spaliły na panewce, a działania mające dyskretnie wesprzeć opozycję przeciwko LDP i jej liderce dały efekt przeciwny do zamierzonego.

Podkreślanie wspólnych interesów oraz strategicznej solidarności z Koreą Południową staje się w tym kontekście sygnałem, że Japonia zamierza aktywnie naprawiać swój wizerunek w krajach, które niegdyś sporo wycierpiały z jej strony, ale obecnie są ważnymi partnerami w nowym, wielkim konflikcie w Azji. Wspomniane popisy perkusyjne pani premier były więc czymś więcej niż prostym gestem mającym ocieplić jej wizerunek na użytek wewnętrzny – stanowiły element polityki bezpieczeństwa. Podobnie jak niedawna deklaracja, że Tokio jest zdeterminowane, by w razie potrzeby militarnie bronić niepodległości Tajwanu (co potężnie rozsierdziło Pekin, a w Tajpej wywołało wiele ciepłych słów i gestów natury ekonomicznej).

Teraz Japonia aktywnie uczestniczy w tkaniu porozumień mających ograniczyć dominację kontynentalnych Chin w zakresie surowców krytycznych – i to zarówno w formatach wielostronnych, także z udziałem Unii Europejskiej, jak i bilateralnych, zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, pozostającymi jednocześnie głównym partnerem w sektorze militarnym. Sukces wyborczy Sanae Takaichi daje jej praktycznie carte blanche w tym zakresie i paraliżuje ewentualne sprzeciwy ze strony bardziej kunktatorskich polityków i frakcji. Minister obrony Shinjiro Koizumi już zapowiedział, że „dialog z Chinami będzie kontynuowany”, ale dla jego skuteczności niezbędne jest szybkie wzmocnienie własnego potencjału zbrojnego.

Między Waszyngtonem a katastrofą

Nie dziwi w tej sytuacji, że jako jeden z pierwszych (obok prezydenta Tajwanu Lai Cheng-te) z gratulacjami pospieszył Donald Trump, podkreślając znaczenie „wielkiego sukcesu w promowaniu konserwatywnego programu pokoju poprzez siłę” oraz odwagę i mądrość decyzji o przeprowadzeniu przedterminowych wyborów bez zwło-

ki, w trudnych, zimowych warunkach. Nie dziwi też, że skala sukcesu wyborczego Takaichi nasiliła ataki propagandowe ze strony ChRL i jej zagranicznych pomagierów, w tym Rosji, KRLD, ale także niektórych lewicowych mediów na Zachodzie.

W ten sposób japońskie rozgrywki wewnętrzne wpisują się w coraz wyraźniejszą, nową oś globalnego podziału. Z jednej strony są Chiny i ich wasale. Z drugiej Stany Zjednoczone, a także te państwa na różnych kontynentach, w których ośrodki kierownicze zgadzają się generalnie z założeniami strategii USA oraz mają dobre relacje osobiste z lokatorem Białego Domu. W przypadku Sanae Takaichi ta chemia ewidentnie występuje – obecna szefowa japońskiego rządu odziedziczyła ją zresztą po swoim mentorze, zabitym w zamachu byłym premierze Shinzo Abe, ale sama wzmocniła kilkoma starannymi przemysłanymi gestami. Nie tylko pochwałami, na które Trump jest chorobliwie łasy, czy powitalnym darem w postaci kija golfowego, którym Abe grywał ze swym amerykańskim przyjacielem. Także prezentami, które musiały spodobać się większej grupie Amerykanów – np. dużą partią japońskich fajerwerków na obchody Święta Niepodległości w USA – a przede wszystkim konkretnymi zobowiązaniami do inwestycji w Stanach oraz zakupów amerykańskich towarów, od soi po pick-upy. Japońska polityczka uniknęła przy tym roli bezwolnego lokaja, ma pozycję partnera, z którym się negocjuje, zamiast wydawać mu polecenia. Zarówno w kwestiach bezpieczeństwa, jak i biznesu.

Widać tutaj – mimo oczywistych różnic – pewne podobieństwo do Argentyny i Javiera Milei. W obu przypadkach jest fatalna alternatywa, czyli skompromitowane nieudolnością rządy centrolewicy, w dodatku zerkające ku Chinom. Jest spory talent do zagospodarowania elektoratu buntu i protestu, a także wytyczania nowych ścieżek komunikacji z wyborcami przy jednoczesnym poszukiwaniu niesztampowych, ale generalnie prorynkowych mechanizmów naprawy sytuacji gospodarczej. I jasne postawienie na Waszyngton, co nie wynika z naiwnej miłości, ale z twardej kalkulacji interesów. Nawet wbrew potocznym, antyamerykańskim emocjom oraz oczywistej konstatacji, że obecny prezydent ma swoje wady i deficyty. Cóż, dłużej klasztora niż przeora.

Podobnie jak Argentyna Japonia zapewne stanie się kolejnym laboratorium takiego miękkiego trumpizmu. Warto obserwować jego ewentualne wzloty i upadki i wyciągać z nich wnioski, bo w bardzo skurczonej globalnej wiosce oba kraje są jednak, wbrew pozorom, naszymi sąsiadami. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po Int, publicysta DGP

Idee



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kapitalizm na niby

Piotr **Arak**

W debatach o kondycji polskiej gospodarki często używa się wielkich słów: modernizacja, doganianie Zachodu, suwerenność gospodarcza, reindustrializacja. Rzadziej pada bardziej fundamentalne pytanie: jakiego rodzaju kapitalizm właściwie zbudowaliśmy? Czy jest to system zdolny do samodzielnej reprodukcji przewag konkurencyjnych, czy raczej konstrukcja zależna od zewnętrznych impulsów, regulacji i politycznych protez?

Pomocne w odpowiedzi na te pytania okazuje się pojęcie ersatz kapitalizmu (ersatz capitalism), sformułowane pod koniec lat 80. XX w. przez japońskiego ekonomistę Kunio Yoshiharę. Choć autor odnosił je do Azji Południowo-Wschodniej, jego intuicje wydają się dziś zaskakująco aktualne także w Europie Środkowej.

Yoshihara pisał swoją książkę w 1988 r., czyli w momencie, gdy wiele krajów Azji notowało szybki wzrost gospodarczy, przechodziło industrializację i zwiększało swoją obecność na światowych rynkach. Z zewnątrz wyglądało to jak sukces kapitalizmu. Jednak z bliska widać było coś niepokojącego: wzrost nie prowadził do powstania autonomicznej, innowacyjnej klasy kapitalistycznej, która byłaby zdolna przejąć kontrolę nad technologią, markami i kapitałem.

Słowo „ersatz” pochodzi z języka niemieckiego i oznacza zamiennik – coś, co ma pełnić funkcję oryginału, ale nim nie jest. W języku polskim przyjęło się jako „namiastka” lub „podróbka”, często o wyraźnie pejoratywnym zabarwieniu. W jidysz, z którego termin przeniknął do potocznej mowy Europy Środkowej, ersatz oznaczał coś prowizo-

rycznego, stworzonego z konieczności – substytut, który pozwala przetrwać, lecz nie zastępuje pełnowartościowego dobra.

Yoshihara użył tego pojęcia, by opisać kapitalizm, który funkcjonuje formalnie, ale nie odgrywa swojej historycznej roli: nie przekształca struktury gospodarki w kierunku coraz wyższej produktywności i innowacyjności.

Polska: sukces bez transformacji?

Na pierwszy rzut oka Polska wydaje się zaprzeczeniem tej tezy. Trzy dekady wzrostu, integracja z Unią Europejską, rosnący eksport, poprawa poziomu życia. Problem polega na tym, że wzrost ten ma pewne mankamenty. Jesteśmy 20. gospodarką świata pod względem wielkości nominalnego PKB, ale mamy słabsze instytucje i zmagamy się z wyścigem z pułapki średniego rozwoju (albo, jak kto woli, z pułapki średniej produktywności). Kunio Yoshihara zastosował zestaw kryteriów, aby odróżnić „prawdziwy kapitalizm” od tego, który nazwał ersatz kapitalizmem. Można je pogrupować w kilka bloków.

■ Jakość i autonomia klasy kapitalistycznej. Kluczowe pytanie Yoshihary brzmiało: czy istnieje rodzima klasa przedsiębiorców, która samodzielnie inwestuje, opracowuje innowacje i ponosi ryzyko? W ersatz kapitalizmie elity biznesowe są zależne od państwa poprzez licencje, koncesje czy preferen-

cyjny dostęp do kapitału. Bogacenie się odbywa się głównie przez pogoń za rentą (rent-seeking), a nie produktywność. Brakuje długoterminowego myślenia; przedsiębiorcy stają się pośrednikami politycznymi, a nie Schumpeterowskimi innowatorami.

W przypadku Polski autonomia rodzimej klasy kapitalistycznej jest częściowa i ograniczona. Plusy to istnienie sektora prywatnego, dynamicznych małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP) oraz firm rozwijających się organicznie w branżach takich jak IT, produkcja mebli, logistyka czy żywność. Minusy to brak silnej klasy przemysłowych czempionów oraz duże znaczenie podmiotów państwowych lub zależnych od regulacji i kontraktów publicznych. Prywatny kapitał rzadko skaluje się do poziomu globalnego producenta technologii. Kapitałisci istnieją, ale nie są „systemowo decydujący” tak jak minister aktywów państwowych.

■ Źródło akumulacji kapitału. W ersatz kapitalizmie akumulacja opiera się głównie na handlu surowcami, nieruchomościach, monopolach regulacyjnych i kontraktach państwowych. Inwestycje w technologię, badania i produktywność są słabe. Kapitał krąży, ale nie pogłębia się strukturalnie.

W Polsce dominują zyski z handlu, nieruchomości, usług oraz integracji z zagranicznymi łańcuchami wartości. Słabsze są inwestycje długoterminowe w przemysł, reinwestycje w R&D oraz własność technologii. Kapitał krąży i się konsoliduje, lecz rzadko przechodzi w innowacyjną akumulację.

■ Relacje państwo-biznes. Państwo rozwojowe, jak Japonia czy Korea, dyscyplinuje kapitał oraz nagradza produktywność i innowacje. Państwo ersatz chroni „swoich”, toleruje nieefektywność i nie wymusza konkurencyjności. W takim systemie banki państwowe mogą przyznawać kredyt na podstawie relacji, a nie zdolności spłaty, zaś upadłość jest rzadkością (tzw. soft budget constraint).

W Polsce rola państwa jako właściciela, regulatora i inwestora jest silna. Ważne są zamówienia publiczne, spółki Skarbu Państwa i decyzje administracyjne. Brakuje dyscypliny rozwojowej – polityczna zarządzania w SSP przewyższa wymuszanie produktywności. Państwo chroni, ale rzadko wymusza modernizację i efektywność.

■ Struktura przemysłu i zdolność technologiczna. Yoshihara analizował, co dokładnie produkuje gospodarka. W ersatz kapitalizmie dominują montownie, proste przetwórstwo i sektory niskiej wartości dodanej. Brakuje własnych marek, własnej technologii i kontroli nad łańcuchem wartości. Gospodarka może rosnąć, ale nie „uczy się” technologicznie.

W Polsce królują montownie, komponenty i produkcja średniej technologii. Brakuje własnych marek high-tech, kontroli nad własnością intelektualną i obecności na końcu łańcucha wartości. Produkujemy dużo, ale rzadko projektujemy standardy.

■ Rola kapitału zagranicznego. Bezpośrednie inwestycje zagraniczne (BIZ) same w sobie nie są problemem. Problemem jest zależność od nich. W ersatz kapitalizmie kapitał zagraniczny dominuje w nowoczesnych sektorach, nie wy-

AUTOPROMOCJA

bliskiświat

Afera Epsteina bez politycznych konsekwencji

Karolina Wójcicka
Dziennik Gazeta Prawna

Gość:
Magdalena Górnicka-Partyka
Stan Wyborczy

WIDEO

Oglądaj na
gazetaprawna.pl

wołuje efektów rozlewania się (spillovers) i nie tworzy lokalnych czempionów. Lokalni przedsiębiorcy pozostają w handlu, usługach regulowanych i sektorach zależnych pośrednio lub bezpośrednio od państwa. Rozwój jest „importowany”, nie endogeniczny.

W Polsce BIZ-y są kluczowe dla eksportu, technologii i produktywności. Problemem są ograniczone spillovers, niewielka transformacja inwestycji zagranicznych w lokalnych czempionów oraz asymetria siły negocjacyjnej. Rozwój jest egzogeniczny, nie w pełni endogeniczny.

■ System bodźców. Yoshihara analizował, co się opłaca przedsiębiorcy. W ersatz kapitalizmie bardziej opłaca się mieć dobre relacje polityczne niż technologię, zdobyć licencję, niż poprawić produktywność, lobbować, niż inwestować. To racjonalne dla jednostek, ale irracjonalne dla rozwoju.

W Polsce bodźce rynkowe często premiują optymalizację podatkową, regulacyjną lub grantową zamiast ryzykownych inwestycji technologicznych. Racjonalne decyzje mikroekonomiczne nie budują przewag makroekonomicznych.

■ Horyzont czasowy decyzji gospodarczych. Prawdziwy kapitalizm cechują długi horyzont inwestycyjny i inwestycje pokoleniowe. W ersatz kapitalizmie dominuje krótkoterminowa maksymalizacja rent, szybka konsumpcja zysków i emigracja kapitału.

W Polsce cechą charakterystyczną jest niska skłonność do ryzyka, preferencja wysokiej dywidendy zamiast reinwestycji oraz emigracja kapitału prywatnego. Kapitał zabezpiecza się zamiast transformować gospodarkę.

■ Efekty społeczne i instytucjonalne. Yoshihara zwracał uwagę na nierówności strukturalne, napięcia etniczne (np. rolę chińskiej mniejszości) i słabą legitymizację kapitalizmu w społeczeństwie. Nie staje się on systemem powszechnym, tylko elitarnym. W Polsce widać podobną tendencję: silne poparcie dla redystrybucji, nieufność wobec „wielkiego biznesu” oraz oczekiwanie, by państwo odgrywało rolę stabilizatora. Kapitalizm nie jest postrzegany jako projekt wspólny, lecz jako system nierówny.

Polska nie jest klasycznym ersatz kapitalizmem, ale utknęła w jego miękkiej, europejskiej wersji – z silnym państwem, zależnością od kapitału zagranicznego i niedojrzałą klasą kapitalistyczną.

Bez ryzyka bankructwa nie ma innowacji

Ostatnie ćwierćwiecze rozwoju polskiej gospodarki zaskakująco przypomina trajektorię, jaką po II wojnie światowej przeszły Włochy w okresie swojego boomu. Porównanie to powinno działać jak sygnał ostrzegawczy: konwergencja nie dokonuje się sama z siebie. Wraz ze zbliżaniem się do światowej granicy technologicznej tempo wzrostu coraz częściej słabnie, a w skrajnych przypadkach może nawet ulec odwróceniu. Podobna logika dotyczy Japonii, gdzie po fazie spektakularnego sukcesu spowolnienie okazało się jeszcze bardziej gwałtowne i długotrwałe niż we Włoszech.

Ersatz kapitalizm nie jest błędem jednego rządu ani skutkiem złej koniunktury. To równowaga instytucjonalna, w której racjonalne decyzje jednostek nie prowadzą do racjonalnych rezultatów rozwojowych. Dlatego wyjście z niego nie jest kwestią „więcej pieniędzy”, „więcej programów” ani „więcej strategii”. Wymaga to zmiany logiki systemu.

Po pierwsze, kapitał – także państwowy – musi zostać zdyscyplinowany. Dopóki nieefektywność jest chroniona, a porażka ekonomiczna nie pociąga za sobą realnych konsekwencji, inwestycje w produktywność będą przegrywać z rentą regulacyjną. Państwo rozwojowe nie polega na tym, że wybiera zwycięzców, lecz na tym, że pozwala przegranym upaść. Bez realnego ryzyka bankructwa nie ma innowacji, są tylko transfery.

Po drugie, Polska musi przejść od absorpcji technologii do jej współtworzenia. To nie oznacza rezygnacji z kapitału zagranicznego, lecz zmianę warunków jego obecności: większy nacisk na lokalne centra decyzyjne, własność intelektualną, badania i rozwój osadzone w kraju. Gospodarka, która nie kontroluje technologii, pozostaje podwykonawcą, niezależnie od skali produkcji.

Po trzecie, konieczne jest wymuszenie realnej konkurencyjności eksportowej, a nie ochrona rynku wewnętrznego. Firmy, które nie są w stanie rywalizować na międzynarodowych rynkach bez protekcji, nie staną się motorami rozwoju. Eksport nie może być jedynie efektem niskich kosztów, lecz wynikiem jakości, marki i technologii. To oznacza mniejszą tolerancję dla opartych na regulacjach „narodowych czempionów” i większą presję na globalną ekspansję.

Po czwarte, ciężar rozwoju musi się przesunąć z państwowych konglomeratów na prywatnych przed-

siębiorców zdolnych do długoterminowego ryzyka. Bez innowacyjnych czempionów nie powstanie trwała klasa kapitalistyczna ani nie pojawi się społeczna legitymizacja kapitalizmu. Państwo może tworzyć ramy, ale nie zastąpi przedsiębiorcy w odkrywaniu nowych przewag.

Wreszcie, wyjście z ersatz kapitalizmu wymaga zmiany horyzontu czasowego. Kapitalizm rozwojowy nie opiera się na maksymalizacji bieżących rent, lecz na reinwestowaniu, akumulacji wiedzy i cierpliwości kapitału. Bez tego gospodarka może stać się bogatsza, ale nie bardziej suwerenna.

Polska stoi dziś przed wyborem – nie między rynkiem a państwem, lecz między kapitalizmem zdolnym do rozwoju a jego trwałą namiastką. Ersatz może działać długo i całkiem wygodnie. Problem w tym, że w świecie technologicznej i geopolitycznej rywalizacji na dłuższą metę nie wygrywa ten, kto tylko dobrze imituje. ©

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

MPGL Świętochłowice

– jubileusz odpowiedzialności i służby mieszkańcom



Od 75 lat Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Lokalowej w Świętochłowicach nieprzerwanie działa na rzecz mieszkańców miasta, realizując zadania związane z zarządzaniem i utrzymaniem miejskiego zasobu mieszkaniowego. Jubileusz ten stanowi wyjątkową okazję do podsumowania wieloletniego dorobku spółki, a jednocześnie moment refleksji nad dalszym rozwojem i wyzwaniem, jakie stoją przed gospodarką lokalową.



ukierunkowane na rozwój i unowocześnianie procesów zarządzania. MPGL inwestuje w cyfryzację, usprawnienie obsługi mieszkańców oraz podnoszenie standardów świadczonych usług. Wdrażane rozwiązania pozwalają na szybszą reakcję na zgłaszane potrzeby, poprawę komunikacji oraz większą przejrzystość podejmowanych działań. Nowoczesne zarządzanie to dziś nie tylko administracja, ale przede wszystkim partnerskie podejście do mieszkańców. Stawiamy na dostępność, przejrzystość i skuteczność działań – zaznacza Prezes Tomasz Lemański.

Zobowiązanie na kolejne lata

Obchodzona rocznica nie jest jedynie podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć, lecz także zobowiązaniem na przyszłość. MPGL planuje dalsze działania na rzecz modernizacji zasobu mieszkaniowego, poprawy efektywności zarządzania oraz utrzymania wysokiej jakości obsługi mieszkańców. Chcemy, aby MPGL nadal było stabilnym i wiarygodnym partnerem dla miasta oraz mieszkańców Świętochłowic – podsumowuje Prezes Zarządu.

Spółeczna odpowiedzialność i współpraca z mieszkańcami

Działalność MPGL to nie tylko zarządzanie zasobem mieszkaniowym, lecz także konsekwentnie realizowana misja społeczna. Spółka współpracuje z władzami miasta oraz lokalnymi instytucjami, podejmując działania sprzyjające poprawie jakości życia mieszkańców.

Istotnym elementem tej aktywności jest budowanie partnerskich relacji z lokatorami, opartych na dialogu i odpowiedzialności za wspólną przestrzeń. Naszym celem jest nie tylko sprawne administrowanie nieruchomościami, ale również tworzenie bezpiecznego i przyjaznego środowiska do życia – podkreśla Prezes Zarządu MPGL Tomasz Lemański.

Od tradycji do nowoczesnego zarządzania

Historia MPGL sięga 1951 roku, kiedy rozpoczęto systemowe zarządzanie miejskimi nieruchomościami. Na przestrzeni kolejnych dekad przedsiębiorstwo ewoluowało, dostosowując swoją strukturę oraz zakres działalności do zmieniających się realiów społecznych i potrzeb mieszkańców Świętochłowic. Dziś MPGL to nowoczesna spółka, która nie tylko administruje nieruchomościami komunalnymi, ale również realizuje zadania techniczne, remontowe i usługowe, dbając o estetykę budynków oraz bezpieczeństwo ich użytkowników. 75 lat działalności to dowód zaufania, jakim mieszkańcy obdarzają MPGL. Przez wszystkie te lata naszym nadrzędnym celem było i pozostaje rzetelne zarządzanie zasobem mieszkaniowym oraz troska o ludzi, którzy w tych budynkach mieszkają – podkreśla Prezes Zarządu MPGL Tomasz Lemański.

Inwestycje i cyfryzacja w służbie mieszkańcom

W ostatnich latach spółka konsekwentnie realizuje działania

Martyna Muszczak

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>

Kultura

Pokazać człowieka, nie pomnik

Nie przepadam za czarno-białymi postaciami, ludzie tacy nie są. Dlatego ocieplam czarne charaktery, a wśród pozytywnych bohaterów szukam cech, które ich uczłowieczą

Z Maciejem

Pieprzycą

rozmawia Konrad Wojciechowski

W której części Katowic pan się wychowywał?
Wychowywałem się w Tychach, chociaż pochodzę z Katowic. Przyszedłem na świat w Nikiszowcu, w dzielnicy, w której Kazimierz Kutz kręcił swoje sławne filmy. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice postanowili się przeprowadzić do Tychów. No a później wróciłem na studia do Katowic i mieszkalem w tym mieście przez kilka lat.

Co pan pamięta ze swojego dzieciństwa – plotkowano po fami-
lokach i podwórkach o wpływie
kopalń, hut i przemysłu ciężkiego
na zdrowie zwykłego obywatela?

Mój tata nie pracował w kopalni, ale mieszkaliśmy w bloku górniczym. Wychowywałem się z kolegami, których ojcowie pracowali pod ziemią. Ale wówczas o tych sprawach mówiło się wyłącznie pozytywnie. Huta czy kopalnia to były dobrodziejki dla lokalnej społeczności. Bogate zakłady przemysłowe zapewniały pracę, organizowały przykładową opiekę przedszkolną, wczasy dla rodzin. Nikt się nie skarżył. Kult ciężkiej pracy jest mocno ugruntowany w archetypie śląskości. Praca, rodzina i religia to najważniejsze wartości.

Czyli tego, co się dzieje pod ziemią, nie należy wywlekać na światło dzienne?
Myślę, że taki mechanizm funkcjonuje również w środowisku lekarskim czy w dużych korporacjach. Pracownicy wolą nie kałać swojego gniazda. Wiele spraw ukrywają, nie

chcą ich rozgłaszać. Czasami nie da się ich ukryć. Nie wszystko da się zatuszować, czego dowodem są huta w Szopienicach i działania doktor Jolanty Wadowskiej-Król pokazane w „Ołowianych dzieciach”.

Ludzie nie mówią o tym, czego są świadkami, w obawie przed utratą pracy albo innymi konsekwencjami zawodowymi. Czy na Śląsku nie dochodzi jeszcze zмова milczenia spowodowana dumą lokalną? Nie wypada mówić źle o swojej małej ojczyźnie?

Ma pan dobrą intuicję. Kopalnia albo huta to bardzo ciężka praca dla twardych ludzi. Każdy zjazd do kopalni może grozić śmiercią. Stąd Święta Barbara – patronka górników. Górnik, idąc do pracy, żegna się z rodziną, bo nie wie, czy wróci.

Jak doszło do nakręcenia serialu „Ołowiane dzieci” o hucie truci-
cielce? Temat Szopienic
za panem chodził czy to pan się
za nim rozglądał?

My, twórcy, oczywiście szukamy historii, ale czasem te historie znajdują nas. W tym przypadku akurat historia znalazła mnie, a na dodatek była z moich rodzinnych stron. Dostałem propozycję nakręcenia tego serialu Netflix i ujęło mnie to, jak silnie lokalna, autentyczna jest to opowieść. Bardzo chciałem opowiedzieć o hucie, dzielnej doktorce i chorych na ołowicę dzieciach. Raz, że to historia typowo śląska, a dwa, że główna postać była niezwykła. Myślę, że duża część Śląska, nie mówiąc o całej Polsce, nie wiedziała o istnieniu doktor Wadowskiej-Król. Ja się nie wychowałem w Szopienicach, nie jestem „ołowianym dzieckiem”. Dostyć późno poznałem historię huty – z reportażu w „Gazecie Wyborczej”. Moja niewiedza wynikała

m.in. z tego, że władza nie bardzo się chwaliła informacjami nagłaśnianymi przez lekarke. Jednak w obliczu faktów rządzący zostali zmuszeni do ujawnienia prawdy. Dopóki mogli, długo zamiatali wszystko pod dywan.

Kiedy serialowa doktorka idzie przez skażone osiedle, nie jest mile widziana przez mieszkańców. Czy pana też traktowano jak intruza z kamerą, który pokaże wstydliwą prawdę?

Ta dzielnica, która nazywała się Targowisko i sąsiadowała z hutą, już od dawna nie istnieje. Teraz jest tam park. Dlatego nie kręciliśmy zdjęć w dzielnicach, które byłyby żywym nośnikiem pamięci. Huty już nie ma – pozostała tylko jedna hala przero-biona na muzeum. Wszystko trzeba było rekonstruować na potrzeby serialu. Kręciliśmy w kilkudziesięciu lokacjach rozsianych po kilku śląskich miastach. Pion scenograficzny wykazał się ogromną inwencją, dobudowując dekoracje do pustostanów. Na nieistniejące osiedle złożyły się trzy lokalizacje: katowicka Kolonia Alfred, Lipiny – dzielnica Świętochłowic, oraz okolice wokół kościoła w Zabrze. Te miejsca nie miały bezpośredniego związku z historią sprzed 50 lat. Nie mieliśmy też wiele do czynienia z ludźmi zatrudnionymi w hucie, chociaż podczas kręcenia scen pojawił się człowiek, który pamiętał doktorkę i wspominał, że leczyła wielu pacjentów.

Czy na etapie dokumentacji do serialu były gromadzone relacje świadków wydarzeń w hucie?
To pytanie do scenarzysty Jakuba Korolczuka. Ja się pojawiłem, kiedy pomysł scenariuszowy był gotowy. Oczywiście kontaktowałem się z rodziną głównej bohaterki,

ustalałem detale, aby uwiarygodnić tę postać. Fabuła serialu jest w zasadzie opowiadana z punktu widzenia doktorki. Na planie, w pionie produkcji, pracowała z nami jej wnuczka. Dużo opowiadała o babci, jak ją pamięta. Dostarczyła sporo materiałów. Żyje jeszcze Wiesia Wilczek – pielęgniarka z Szopienic i asystentka doktorki, ale wiedza faktograficzna pochodzi też z książki Michała Jędryki „Ołowiane dzieci”. Kuba opisał w scenariuszu, jak wyglądał tamten świat, a ja go próbowałem wskrzesić kamerą. Nie bez znaczenia było też to, że mieliśmy pełne zaufanie ze strony Netflix do tego, jak chcieliśmy opowiedzieć tę historię. Ta autentyczność w opowieści to zasługa całej ekipy, gdzie ponad 40 osób z głównej obsady, a kolejne kilkadziesiąt z ekipy produkcyjnej, to byli ludzie ze Śląska, czujący lokalną tożsamość i historię.

Widzę w doktor Wadowskiej-Król sygnalistkę, która staje przed niełatwym zadaniem – chce nagłośnić sprawę na przekór lokalnej niechęci i odgórnie narzuconej propagandzie sukcesu, w dodatku przed wizytą w Katowicach towarzysza Breźniewa...
W latach 70. byłem dzieckiem. Pamiętam dekadę Gierka uznawaną za kolorowe lata – no, niecałą, do 1976 r., czyli do wydarzeń w Ursusie i Radomiu. Panował względny dobrobyt, więc ludzie podchodzili do rzeczywistości dość konformistycznie. Mówiono o Polsce jako o 10. gospodarce świata. I nagle pojawia się doktor Wadowska-Król, która temu zaprzecza i mówi źle o dobrodziejce hucie.

I podburza matki do zbiorowego buntu. Pan z głównej bohaterki skonstruował Wałęsę w spódnicy.





FOT. ROBERT PALKA/NETFLIX

Kadr z serialu „Ołowiane dzieci”

Nie lubię opowiadać historii wyssanych z palca, choć to nie jest dokument, tylko serial fabularny. Prawdziwa historia zwykle potrzebuje fikcji, żeby móc zbudować opowieść, wzbudzić emocje u widza, a to jest historia o tym, że warto być odważnym człowiekiem w trudnych czasach mimo grożących za to konsekwencji.

Skąd to bohaterstwo pańskiej bohaterki? Nie poznałem osobiście doktor Wadowskiej-Król, zmarła przed trzema laty. Ale zawsze powtarzała, że nie czuje się bohaterką. Po prostu starała się jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Gdyby ona tak zdecydowanie nie ujęła się za dziećmi, nikt by tego nie zrobił. Nie wystarczy być lekarzem – trzeba być jeszcze przyzwoitym człowiekiem. Jej przychodziło to naturalnie. Nie postrzegała swojej pracy w kategorii walki. Zależało jej po prostu, żeby leczyć i ratować dzieci.

Robi to jednak z determinacją godną pozytywistycznej siłaczki. Ludzie wspominają, że pani doktor była jak huragan. Autor wspomnianej książki napisał, że kiedy należało przenieść rodziny z Targowiska i znaleźć im nowe mieszkanie, pani doktor wysiadywała na korytarzach, aby coś w tej sprawie zrobić. Była oburzona, kiedy przeczytała te słowa: „Nie, nie siedziałam na korytarzu. Wchodziłam do gabinetów z pozycją siły”. Ona taka była. I staraliśmy się z Joasią Kulig, która moim zdaniem fantastycznie wpasowała się w postać, zachować tę jej energię. Nie chodziło tak bardzo o podobieństwo fizyczne, ale właśnie energetyczne, żeby pokazać tę siłę, odwagę i determinację.

Pana serialowe postacie są nieustępliwe: doktorka chce

uratować dzieci, a sekretarz wojewódzki z ubekiem – nie przejmując się ich zdrowiem – knują polityczną intrygę. Obie strony nie próbują się dogadać. To trochę pasuje do naszej obecnej codzienności. Nie do końca się z panem zgodzę. Każda z postaci ma inne motywacje. Staralem się, aby choć odrobinę wchodziły w łuk przemiany. Pewnie najmniejszą skłonność miał ku temu grany przez Zbigniewa Zamachowskiego Zdzisław Grudzień, sekretarz wojewódzkiego komitetu PZPR w Katowicach, ale tylko dlatego, że chciałem wiernie oddać jego postać. Historia zweryfikowała ją niepocholebnie. Wystarczy sięgnąć po książkę „Cysorz” Michała Smolorza, gdzie został zawarty opis Grudnia jako człowieka z kompleksami, groteskowego w swoich zachowaniach, ale też sprytnego i zawistnego. Jego konflikt z wojewodą Ziętkiem pokazaliśmy tak, jak w rzeczywistości wyglądał. Oni naprawdę mieli okna gabinetów naprzeciwko siebie, bo budynek Sejmu Śląskiego sąsiedował przez plac z Domem Partii. Antagoniści mogli się widzieć w oknach.

Trochę jak Rejent z Cześnikami w „Zemście” Fredry. Tak, to też bardzo filmowe. A co do Grudnia i władzy, którą uosabiał, jego podejście do sprawy huty i dzieci też ewoluowało, bo przecież faktów ujawnianych przez doktorkę nie dało się lekceważyć w nieskończoność.

Żyjemy w czasach, w których brakuje ludzi budzących moralny podziw. Czy kryzys autorytetów potęguje deficyt bohaterów? Andrzej Wajda często powracał do tego wątku. Szukał bohatera naszych czasów. Takim był Maciek Chelmicki z „Popiołu i diamentu”. A później Mateusz Birkut i Agnieszka z „Człowieka z marmuru”. Warto się zastanowić, gdzie są współcześni bohaterowie. Jacka Kuronia czy Władysława Bartoszewskiego już z nami nie ma. Takich autorytetów ubywa wśród żyjących. Historia mojej doktorki takim bohaterstwem jest poniekąd naznaczona. Chociaż ona nie chciała, żeby tak ją nazywać. Lekarka doczekała się określenia „Matka Boska Szopienicka”. Już to uświadamia, że mamy do czynienia z pomnikiem. A opowiadanie o pomnikach jest ryzykowne. Nie przepadam za czarno-białymi postaciami, ludzie nie są tacy. Dlatego ocieplam czarne charaktery, a wśród pozytywnych bohaterów szukam cech, które ich uczłowieczą. Sądzę, że udało się nam z Asią stworzyć postać z krwi i kości, a nie pomnikową Matkę Boską.

A to trudniejsze zadanie? Z reżyserskiego punktu widzenia łatwiej budować postać antagonisty niż człowieka bez skazy. On jednak musi mieć pewne sprzeczności. Jeśli patrzymy na bohatera przez większą część filmu czy serialu, z ekranu nie powinno wiać nudą. Trzeba więc stworzyć postać złożoną psychologicznie, która się waha i nie podejmuje jednoznacznych decyzji, czasem popełnia nawet błędy, zmagając się z problemami, które przed nią stanęły. Tak jak każdy z nas. Wtedy właśnie mamy do czynienia z człowiekiem, a nie pomnikiem.

Czyli nawet dobry bohater musi być trochę zły? Tak bym tego nie nazwał. Kiedy kręcę film, próbuję znaleźć w dobrym bohaterze jakąś skazę. Powtórzę za Dozajewskim – ludzie nie są tylko dobrzy ani tylko zli. Dwa żywioły – dobro i zło – walczy ze sobą w każdym z nas i w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdujemy, z człowieka wychodzi raz jedno, raz drugie. Bohaterowie serialu, doktorka i jej antagonista, esbek Niedziela, mają podobne dylematy. Tylko w danym momencie jedno z nich wybiera odwagę i chce pomagać ludziom, a drugie woli konformizm, chociaż doskonale rozumie tę dramatyczną sytuację, bo ona także jego dotyczy. Przeżywają wspólnie, wybierają inaczej.

Nadmiernie idealizujemy naszych bohaterów i nie wybaczymy im słabości?

W Polsce dużo trudniej robi się filmy biograficzne. Amerykanom, Brytyjczy-

kom czy Francuzom nie towarzyszy poczucie, że kiedy przenoszą na ekran znaną postać, powinni ten film robić na kolanach. U nas o zmarłych nie mówi się źle. A każda, nawet najbardziej szlachetna postać ma jakieś rysy i cienie. Nie mówię o złych cechach, ale o ludzkich słabościach, dylematach, niefortunnym postępowaniu. Jak pan sięgnie po „Piękny umysł” – zekranizowaną biografię Johna Nasha – albo film o gen. Pattonie czy o Oppenheimerze, to z pewnością nie są to biografie pomnikowe.

Kim jest ekranowy heros? Osobą odważną, która idzie za ciosem, kiedy inni odpuszczają, ale miewa zawahania, czy mimo moralnych racji nie posuwa się za daleko? Nie chciałbym generalizować, nie czuję się do tego właściwą osobą. Powiem, że kiedy dostałem propozycję pracy nad serialem, chciałem stworzyć opowieść nie tylko o bohaterce, lecz także o czymś więcej. Żeby ten serial niósł historię o ludzkiej przyzwoitości.

Widzom się spodoba? Usłyszałem od kilku dziennikarzy pytanie, czy nakręciłem polską „Erin Brockovich” (amerykański film z 2000 r. opowiadający historię kobiety, która wygrała w sądzie z koncernem zanieczyszczającym środowisko w Kalifornii – przyp. autora). Jest wspólny mianownik między opowieścią o doktor Wadowskiej-Król a wspaniałym filmem Soderbergha ze świetną kreacją Julii Roberts. Tylko że dużo łatwiej być odważnym w ustroju demokratycznym niż totalitarnym. Oczywiście nie mówimy o stalinizmie, bo za Gierka jednak trochę zliberalizowano system, więc za działania, jakich podjęła się główna bohaterka „Ołowianych dzieci”, groziły mniej surowe sankcje.

Jedną z nich było utrudnienie przez władze rozwoju kariery naukowej śląskiej lekarki. Czy za sprawą tego serialu chce ją pan zrehabilitować i przyznać pośmiertnie symboliczny doktorat? Kilka lat temu otrzymała doktorat honoris causa od Uniwersytetu Śląskiego. Nie o nagrody jednak chodzi. Uważam, że dobrze się stanie, że ludzie dowiedzą się o istnieniu doktor Wadowskiej-Król. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy zaczynaliśmy kręcić serial, a miałem ekipę śląsko-warszawską, niewielu o tej kobiecie słyszało. Niektórzy byli wręcz zdziwieni, że to historia oparta na faktach, a nie totalna fikcja. Wierzę, że serial przypomni doktorkę z Szopienic i że zostanie ona na dłużej w zbiorowej świadomości, bo to się jej należy. A nam niech bliska będzie postawa doktorki: warto być porządnym człowiekiem. ©



FOT. MARCIN OLIVA/NETFLIX

Maciej

Pieprzyca

reżyser filmowy i telewizyjny. Nakręcił m.in. głośne „Chce się żyć” i „Jestem mordercą” oraz serial „Idź przodem, bracie”. Od 11 lutego w Netflixie można oglądać jego najnowszy serial „Ołowiane dzieci” o epidemii ołowicy wśród dzieci

Historia

Rodzina Kołnierzyków z AK

Nieodłączną cechą wojny jest samotność, od której człowiek próbuje uciekać we wspólnotę. Jej obietnica była jedną z zalet Armii Krajowej. 14 lutego przypada 84. rocznica jej formalnego założenia

Sebastian

Pawlina

Lecieli nisko nad ziemią. Dzięki temu czterosiłnikowy brytyjski bombowiec Halifax stał się niemal niewidoczny dla niemieckich urządzeń pomiarowych i artylerii przeciwlotniczej. Niewielkie szanse na jego upolowanie miały również myśliwce wroga. Zaś ludzie w środku dzięki temu podziwiali duńskich rowerzystów i krę unoszącą się na wodzie tuż przy wybrzeżu Bałtyku. Chwilę później obrali kurs na Koszalin, a potem na Bug, którego śladem sunęli w stronę Wyszkowa.

Dla sześciu pasażerów był to już trzeci lot w ostatnich dniach. Dwa poprzednie, nieudane, kończyły się na tym samym lotnisku, z którego startowali. Za pierwszym razem osiągnięcie celu uniemożliwił im brak dobrej widoczności, przez co nawigator nie był w stanie namierzyć właściwej trasy. Drugą próbę przerwał silny ogień artyleryjski. Ale to fakty. A co z nimi? Uczucia, które im wtedy towarzyszyły, trudno nazwać jednoznacznie. Na pewno było w tym rozczarowanie. Może smutek. Ale mogła pojawić się również ulga, że to, o czym tyle myśleli, a co wiązało się z wielkim niebezpieczeństwem, jeszcze się nie zmateriałizuje. Po chwili dołączało do tego zapewne napięcie związane z wydłużającym się oczekiwaniem. Ale tym razem, w nocy z 3 na 4 marca 1942 r., miało być inaczej.

Po minięciu Wyszkowa usłyszeli komendę „Przygotować się do skoku!”. Nałożyli na głowy hełmy, poprawili pistolety, żeby nie przeszkadzały w powietrzu. Jeden z członków załogi otworzył dziurę w podłodze samolotu, sprawdził ich

spadochrony. Jak na szkoleniu. Z tą różnicą, że teraz działało się to naprawdę, nie było miejsca na pomyłki czy poprawki. „Na dole było białe i mroźno. Czarna połać lasu, przecięta drogą. Mignęły jakieś chałupy, szmat pola, zagajniki. Szukaliśmy naszych rozstajnych dróg, polany i światła. Ostry zakręt w lewo. Lecimy wzdłuż drogi. Według mapy byliśmy już nad rejonem zrzutu. Zrobiliśmy znowu rundę dookoła. Nalatywaaliśmy na cel” – zapamiętał Stanisław Jankowski „Agaton”, pierwszy z Kołnierzyków. Nazwa wzięła się od kryptonimu operacji lotniczej „Collar”, czyli kołnierz, w ramach której mieli zostać zrzućeni do okupowanej Polski.

Przed skokiem powinni w dole dostrzec światła ułożone przez obsadę placówki pod kryptonimem „Pole”. To na niej mieli lądować. Ale pod nimi był tylko ośnieżony las. Nawigator zapowiedział im, że poczekają 10 minut, a potem poszukają dla nich bezpiecznego miejsca do zrzutu, żeby nie musieli znowu wracać do Anglii.

Nagle dostrzegli światła. Wiedzieli, co mają zrobić. Jeden po drugim siadali na brzegu dziury. Jan Rogowski „Czarka”, Zygmunt Milewski „Róg”, Jan Kochański „Maciek”, Franciszek Pukacki „Gzyms”. Gdy Jankowski szykował się do skoku, usłyszał za sobą głos dowódcy, Bohdana Piątkowskiego „Dżula”, który krzyknął do niego: „Zachciało ci się Polski, gówniarzu!”.

Turyści Sikorskiego

„Nie miałem doświadczenia w rozpoczynaniu wojny” – pisał kilka dekad później „Agaton”. Podobnie jak duża część

społeczeństwa, może nawet większość, nie wierzył w nią do ostatniej chwili. W efekcie zderzenie z rzeczywistością było bolesne. Wystarczyło kilka tygodni, aby polska armia, której wizją potęgi karmiono ludzi przez poprzednie miesiące, przestała istnieć. Przegrana kampania dla żołnierzy nie oznaczała jednak końca wojny. Wielu ruszyło na zachód, do Francji, aby tam wstąpić do nowo formowanych oddziałów i wiosną 1940 r. wyzwolić ojczyznę.

Najkrótsza droga nad Loarę – przez Niemcy – była niedostępna. Dostanie się do Francji oznaczało konieczność wędrowania po Europie. Wyprawy w latach 20. i 30. po kontynencie ułożonym na nowo w Wersalu, Trianon czy Neuilly, należały do imaginarium ludzi mających, naukowców i łazików. Były przygodą. Dla turystów Władysława Sikorskiego, takich jak szóstka z Halifaxu, stały się pokoleniową koniecznością.

Pierwszy z Polski wyjechał Jankowski. Zmobilizowany od razu po wybuchu wojny nie wziął jednak udziału w walce. 21 września przekroczył granicę polsko-litewską. Jego dalszej trasy mógłby pozazdrościć niejeden podróżnik. Zanim dostał się do Francji, odwiedził bowiem Łotwę, Estonię, Szwecję, Danię, Holandię i Belgię. Podobny kierunek obrał Piątkowski. Pozostała czwórka skierowała się na południe. Przechodzili przez Węgry, ale też przez Słowację, Rumunię i Jugosławię. Na swojej drodze trafiali do Budapesztu, Splitu, Triestu, Marsylii. Kolejne miesiące pokazały, że Francja jest tylko przystankiem.

Po zajęciu tego kraju przez Niemców w czerwcu 1940 r. znowu ruszyli w drogę. Część ewakuowała się do Wielkiej Brytanii przez kanał La Manche, in-

ni szukali okrzęnych dróg przez Hiszpanię, Portugalię albo Afrykę Północną. Polscy żołnierze uciekający przed wojną, aby móc dalej walczyć, odwiedzali teraz tłumnie Casablancę i Lizbonę. I choć byli przybici ciągnącym się pasmem nieszczęść, wierzyli w sens wysiłku. Jankowski wspominał, że gdy siedział w jednym z francuskich portów, „ktoś przyniósł wiadomość z radia. Podobno Sikorski był już w Anglii i dogadał się z Churchilllem. W Wielkiej Brytanii tworzy się Wojsko Polskie. Będzie się bić dalej”.

Trenowanie wspólnoty

Będąc już w Anglii albo Szkocji, wstępowali do artylerii, oddziałów pancernych, piechoty. Przed sobą mieli długie miesiące ćwiczeń, siedzenia w koszarach, poznawania lokalnych społeczności. Perspektywa powrotu do walki była równie mglista co brytyjska pogoda. Na więcej mogli liczyć jedynie lotnicy, marynarze i oni – cichociemni, w okupowanym kraju nazywani „ptaszkami”. Można się było do nich zapisać, ale ten, kto to robił, nie miał pojęcia, gdzie się zgłasza. Tak jak Jankowski. Wiedział tylko, że jest możliwość przerzutu do Polski. Ale jak, którędy i po co, nikt mu nie wyjaśnił. Krótko po wyrażeniu zainteresowania dostał wraz z kolegą wezwanie na kurs administracji wojskowej.

Nie rozumieli tej decyzji. Zawodowo z administracją nie mieli nic wspólnego. Dopiero na miejscu okazało się, że jest to ukryte pod przykrywką zaproszenie do udziału w tajnych kursach mających przygotować ich do służby w kraju. Dołączyli dwie godziny na podjęcie decyzji. Żaden się nie wycofał. Jankowskiemu





Brytyjski bombowiec Halifax przelatuje nad Zagłębiem Ruhry

FOT. ROYAL AIR FORCE OFFICIAL PHOTOGRAPHER/IMPERIAL WAR MUSEUMS VIA GETTY IMAGES

lub graliśmy w brydża. (...) Oprócz starych mieszkańców naszego luksusowego apartamentu w wieczorach brydżowych najczęściej brali udział Bohdan Piątkowski i Jan Rogowski. Szczególnie niebezpiecznym przeciwnikiem był «Dżul», który grał świetnie, a przy tym tryskał humorem i dowcipem».

Wraz ze zbliżaniem się lotu nastroje gęstniały. Radość mieszała się z niepokojem i lękiem. Aż nadchodził wymarzony start. Nie zawsze udany za pierwszym razem. Czasami potrzebowano więcej prób.

Pierwsze razy

„Zdążyłem jeszcze usłyszeć chłaiście o brzuch samolotu linki wyciągającej spadochron. Wyrzuciło mnie, przechoziłkowałem. Poczulem ostry pęd zimowego powietrza. Nie zdążyłem pomyśleć, czy się spadochron otworzy, gdy mną szarpnęło. Płachta złapała powietrze. Kiwnęło mną jeszcze kilka razy, po czym linki spadochronu ustawiły mnie pionowo. Znów siedziałem wygodnie w taśmach” – pisał „Agaton”. Zniżając się, zachwycał się gwiazdami na niebie, księżycem, sosnami ze śniegową otuliną, Polską. Dzisiaj brzmi to tanio naszym polityczną, tkliwą narracją. Wtedy jednak znaczyło wszystko.

Na ziemi czekała już obsada lądowiska. Pierwsi żołnierze Armii Krajowej, których spotykali. Jankowski zapamiętał, że wyglądali biednie, w dziurawych butach, za długich albo za krótkich koczach. Ktoś miał polski płaszcz wojskowy z cywilnymi guzikami. „Chciałem im jakoś podziękować. Powiedzieć, że jestem wzruszony. Że patrzę na nich z podziwem” – zanotował Jankowski. Rozmowa nie trwała długo. Przekazali delegatowi z Warszawy pieniądze i złoto – to, co cichociemni przywozili ze sobą, było jednym ze źródeł finansowania AK – i ruszyli.

Po niedługim marszu w śniegu dotarli do stacji kolejowej w Wyszku. Tam przeżyli swoje kolejne pierwsze razy w okupacyjnej rzeczywistości. Wdzieli ludzi szmuglujących jedzenie, niemieckiego żandarma z psem. Z brytyjskiego odizolowania wskoczyli prosto w świat wypełniony nienawiścią i brakiem szacunku do człowieka. Jeśli chcieli przetrwać, musieli się szybko nauczyć w nim żyć.

Piątka na miejscu

Po dotarciu do Warszawy odnaleźli podzielone sobie lokale i trafili pod opiekę „ciotek”, jak nazywano kobiety, których zadaniem było nauczyć cichociemnych funkcjonowania w wojennej Polsce. Przez pierwsze tygodnie były one jedy-

nymi osobami, z którymi mogli dłużej rozmawiać, dzielić się obawami, pytać o coś. Zgodnie z zasadami bezpieczeństwa musieli czekać na przydział służbowy, a przez to nie mogli zawiązywać pierwszych podziemnych relacji. Nie wolno im było również spotykać się z rodziną. Te wręcz nie powinny wiedzieć, że wrócili. Choć niektórzy, jak Jankowski, zakaz ten łamali.

Tak oto w tym pierwszym okresie po skoku ludzie mający wykonywać najniebezpieczniejsze zadania w konspiracji, mający szkolić innych, być elitą podziemnej armii, byli wypychani w samotność. Ratunek przynosiły wtedy, ale i później, przyjaźnie zawarte w Wielkiej Brytanii. Wieczory spędzone na brydżu i rozmowach oraz wykańczające szkolenia nagle odkrywały ukryte zalety. Joki opowiadał: „w drugiej połowie kwietnia [1942 r.] szczęśliwy los sprawił, że nasza londyńska «piątka» spotkała się z Bogdanem Piątkowskim «Dżulem» i Jankiem Rogowskim «Czarką». Trafiliśmy wtedy do jednego z najgościńniejszych domów warszawskich, do rodziny, która głęboko tkwiła w konspiracji”. Autor widywał się również z „Agatonem” i „Macikiem”.

Jankowski, Rogowski i Piątkowski trzymali się najbliżej. Często spotykali się w jednym z warszawskich barów. Niebawem dołączyła do nich Danuta Ścibor-Rylska, miłość „Dżula”. Wzięli ślub. Źródła nie mówią, czy na uroczystości byli przyjaciele pana młodego. Podziemne regulaminy zakazywały takich spotkań, ale życie miało swoje prawa. Konspirator potrzebował kontaktu z ludźmi tak samo jak każdy inny człowiek, a może nawet bardziej. Rozumiejąc to, Danusia wprowadziła męża do swojej rodziny, choć to ścierało dodatkowe niebezpieczeństwo na jej najbliższych. Jej matka, Maria, szybko polubiła zięcia. Uważała, że jest grzeczny i subtelny.

W końcu dostali przydziały. „Agaton” zaczął produkować fałszywe dokumenty dla wywiadu Armii Krajowej. „Dżul”, „Czarka” i „Gzymś” trafili do „Wachlarza”, wydzielonej organizacji dywersyjnej AK działającej na wschodzie, na tyłach armii niemieckiej walczącej z Sowietami. „Róg” zajął się organizacją odbioru zrzutów lotniczych, a „Maciek” związał się z wywiadem. Na tyle mocno, że w marcu 1943 r. ożenił się z Zofią Rapp, agentką AK o pseudonimie Marie Springer. Inaczej jednak niż na ślubie Piątkowskiego, nie wszyscy z Kołnierzyków mogli się pojawić.

Splątane losy

Wojna pierwszego dopadła „Dżula”. W „Wachlarzu” szybko dał się poznać podwładnym jako znakomity dywersant, dowódca, organizator i opiekun. Chwalili nie tylko jego odwagę, lecz także talent do psychologii, dzięki któremu potrafił dobrać ludzi do akcji pod względem charakteru. Nie uchroniło go to przed tragicznym końcem, a może wręcz przypieczętowało jego los. W pierwszej połowie grudnia 1942 r. Niemcy przeprowadzili w Mińsku masowe aresztowania wśród członków „Wachlarza”. W końcu i jego złapali. Od początku, czując odpowiedzialność za innych, brał odpowiedzial-

ność na siebie, zwiększając tym samym szanse kolegów na przeżycie. Chciał go odbić wraz z innymi, ale akcja się nie powiodła. On sam też szukał okazji do ucieczki, i to trzykrotnie, ale bez powodzenia. Za pierwszym razem postrzelono go w prawe płuco, za drugim złapano i skatowano, a gdy spróbował trzeci raz, dostał postrzał blisko serca. Ciężko ranny trafił do szpitala, z którego już nie wyszedł. Daty ani miejsca jego śmierci nie ustalono.

W czasie gdy Bohdan trafił do więzienia, Danuta leżała w warszawskim mieszkaniu ze złamaną ręką. Według relacji matki opiekował się nią przyjaciel „Dżula”, który sam później zginął. Opis pasuje do „Czarki”. Niemal rok później, w poniedziałek 3 stycznia 1944 r., jechał z Warszawy ciężarówką z zaopatrzeniem dla swojego oddziału partyzackiego. Nie dojechał na miejsce. W wyniku zdrady został po drodze aresztowany przez Niemców.

Pół roku wcześniej zagrożeni dekonspiracją Kochański wraz z żoną musieli uciekać z Warszawy. Wyjechali do Lwowa, gdzie „Maciek” dostał nowe obowiązki. Zofia była już w zaawansowanej ciąży. 1 listopada, rankiem, do ich mieszkania weszli Niemcy. Zнали prawdziwe nazwiska obojga, orientowali się w ich roli w podziemiu. Rozdzielili ich. Niedługo później zobaczyli się na krótko, kiedy Niemcy chcieli zmusić Zofię do składania zeznań. To był ostatni raz, kiedy widział męża. Przewieziono go do Warszawy, gdzie został rozstrzelany w ruinach getta 16 lutego 1944 r. Tego samego dnia w radomskim więzieniu zamordowano Rogowskiego.

Zofia była wtedy już w Warszawie. Wolna. W dziewiątym miesiącu ciąży samodzielnie uciekła Niemcom ze szpitala we Lwowie i wróciła do stolicy, gdzie urodziła syna. Przyjaciele męża otoczyli ją i dziecko opieką. Przeżyją wojnę. Podobnie jak Jankowski, Milewicz, Pukacki oraz Danuta, żona „Dżula”. Jej brat, Zbigniew, po wojnie ożenił się z Zofią.

Jak rodzina

Wojenna rodzina Kołnierzyków dbała o swoich, stanowiąc widoczny dowód na słuszność twierdzeń naukowców o przewadze współpracy nad rywalizacją. Jak w książce „Przetwarzają najzwyklejsi” pisze antropolog Brian Hare, umiejętność tworzenia grup opartych na wspólnych celach, na wzajemnej trosce o jej członków, stoi u podstaw powstania homo sapiens. Armia Krajowa w tym układzie jawi się jako ewolucyjna konieczność, sposób na zaspokojenie podstawowych potrzeb.

W 1978 r. „Agaton” skończył pisać swoje wojenne wspomnienia, które w wydaniu książkowym zatytułuje „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie”. Dzisiaj uchodzą za jedno z najcenniejszych źródeł do dziejów okupowanej Warszawy. Wiele miejsca w nich autor poświęcił Kołnierzykom. Chciał oddać im tę ostatnią przysługę, aby nie zniknęły z ludzkiej pamięci. Sam zawdzięczał im niemało. Między innymi to, że zyskał „wiarę w ludzi, w ich odwagę, ufność, przyjaźń”. I może to jest najcenniejszy ze spadków po Armii Krajowej. ©©

KOMUNIKATY

**Wyciąg z ogłoszenia o przetargu:****Prezydent Miasta Sosnowca
ogłasza
ustny przetarg nieograniczony**

na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej, stanowiącej własność Gminy Sosnowiec, położonej w Sosnowcu przy **ul. Kujańskiej** oznaczonej geodezyjnie jako działka nr 2523/9, obręb 06 Klimontów, o powierzchni 2310 m², ujawnionej w księdze wieczystej prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Sosnowcu VI Wydział Ksiąg Wieczystych. Działka objęta jest Uchwałą Rady Miasta Sosnowca z dnia 25 sierpnia 2005 r., nr 711/XLIII/2005 w sprawie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla wschodniej i południowo – wschodniej części Gminy Sosnowiec – teren określony jako: obszar zagrożenia powodzią – teren usług i zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej (R.32 MW.U).

Cena wywoławcza do przetargu wynosi **508 000,00 zł** (słownie: *piećset osiem tysięcy złotych*).

Do wylicytowanej ceny należy doliczyć podatek VAT zgodnie z aktualnie obowiązującą stawką 23 % wynikającą z ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (tekst jednolity Dz.U. z 2025 r., poz. 775).

Przetarg odbędzie się **w dniu 17.04.2026 r. o godz. 9.30 w Urzędzie Miejskim w Sosnowcu, Al. Zwycięstwa 20, w sali 307, II piętro.**

Obowiązuje wpłata wadium w wysokości **50 000,00 zł** (słownie: *pięćdziesiąt tysięcy złotych*).

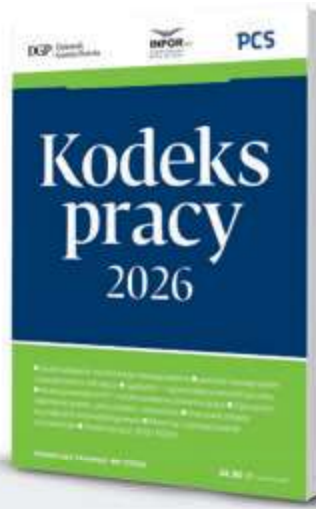
Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Sosnowcu, Al. Zwycięstwa 20, a także opublikowane na stronie internetowej pod adresem: bip.um.sosnowiec.pl w zakładce Nieruchomości/Przetargi oraz na stronie internetowej www.sosnowiec.pl.

Szczegółowe informacje można uzyskać w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Sosnowcu, ul. Mościckiego 14, pok. 419, IV piętro, tel. (32) 296 08 46.

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Bądź gotowy na zmiany w prawie pracy



- Skutki podwyżki minimalnego wynagrodzenia
- Jawność wynagrodzeń i luka płacowa w rekrutacji
- Sygnałisci – najważniejsze wnioski po roku
- Czas pracy: zadaniowy system, praca zdalna, nadgodziny
- Kluczowe zmiany w przepisach antymobbingowych
- Retencja i zaangażowanie pracowników
- Powrót do biur, ZFŚS i RODO

sklep.infor.pl

**WOJEWODA MAZOWIECKI****Ogłoszenie o toczących się postępowaniach odszkodowawczych
za ograniczenie sposobu korzystania z części nieruchomości położone w gminie Jedlińsk,
gminie Radzanów, gminie Stara Błotnica, gminie Mogielnica**

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 30 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1222), art. 113 ust. 6 i ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczy się postępowania administracyjne w sprawie ustalenia odszkodowań za ograniczenie sposobu korzystania z części nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym, położonych:**

• gmina Jedlińsk, obręb Wierzchowiny, oznaczonych jako działki:

- numer **165** o powierzchni **0,9800 ha**,
- numer **167** o powierzchni **2,9100 ha**,
- numer **169** o powierzchni **1,4500 ha**,
- numer **174** o powierzchni **1,4400 ha**,
- numer **175** o powierzchni **1,0500 ha**,
- numer **176** o powierzchni **0,5400 ha**,
- numer **177** o powierzchni **0,5400 ha**,
- numer **179** o powierzchni **1,100 ha**,
- numer **415** o powierzchni **0,7000 ha**,
- numer **402** o powierzchni **0,8800 ha**,
- numer **404** o powierzchni **0,6000 ha**,
- numer **426** o powierzchni **2,3600 ha**,

• gmina Radzanów, obręb Blesno, oznaczonych jako działki:

- numer **170** o powierzchni **1,7300 ha**,
- numer **171** o powierzchni **0,6600 ha**,
- numer **213** o powierzchni **0,2300 ha**,
- numer **216** o powierzchni **0,6700 ha**,

• gmina Stara Błotnica, obręb Pierzchnia, oznaczonych jako działki:

- numer **321** o powierzchni **0,4600 ha**,
- numer **326** o powierzchni **0,1900 ha**,
- numer **332** o powierzchni **1,6300 ha**,
- numer **353** o powierzchni **0,1100 ha**,

• gmina Stara Błotnica, obręb Siekluki, oznaczonych jako działki:

- numer **691** o powierzchni **0,5500 ha**,
- numer **702** o powierzchni **2,3400 ha**,
- numer **698** o powierzchni **0,5000 ha**,
- numer **701** o powierzchni **1,0300 ha**,
- numer **753** o powierzchni **0,1800 ha**,
- numer **711** o powierzchni **0,3100 ha**,
- numer **750** o powierzchni **0,2400 ha**,

• gmina Mogielnica, obręb Świdno, oznaczonych jako działki:

- numer **147** o powierzchni **0,0700 ha**,
- numer **142** o powierzchni **0,1100 ha**,
- numer **522** o powierzchni **0,9700 ha**,
- numer **542** o powierzchni **1,6500 ha**,

• gmina Stara Błotnica, obręb Grodzisko Trąbki, oznaczonych jako działki:

- numer **419** o powierzchni **0,2600 ha**,
- numer **398** o powierzchni **0,1500 ha**,
- numer **418** o powierzchni **0,1900 ha**,
- numer **432** o powierzchni **0,0600 ha**,

• gmina Wyśmierzyce-Miasto, obręb Wyśmierzyce, oznaczonej jako działka:

- numer **2410/1** o powierzchni **0,2936 ha**,

które objęte zostały decyzją Wojewody Mazowieckiego Nr 92/SPEC/2020 z dnia 31 sierpnia 2020 r. o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu pn.: Budowa gazociągu w/c MOP 8,4 Mpa DN 1000 relacji Gustorzyn - Wronów, ETAP III Rawa Mazowiecka - Wronów stanowiącego część inwestycji pn. „Budowa gazociągów Wronów - Odolanów wraz z infrastrukturą niezbędną do jego obsługi na terenie województw lubelskiego, mazowieckiego, łódzkiego i wielkopolskiego”.

**Ogłoszenie o toczących się postępowaniach odszkodowawczych za nieruchomości
położone w gmina Policzna, powiat zwoleński**

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 23 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. 2024 r., poz. 311), art. 113 ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczy się postępowanie administracyjne w sprawie ustalenia odszkodowania za nieruchomość, która posiadała nieuregulowany stan prawny, położone w:**

• gminie Policzna, obręb 0016 Policzna (arkusz 1), oznaczone jako działki:

- numer 86/2 o powierzchni 0,0012 ha,
- numer 100/28 o powierzchni 0,0038 ha,

Wyżej wymienione nieruchomości na podstawie decyzji Wojewody Mazowieckiego Nr 130/SPEC/2024 z dnia 25 września 2024 r., znak WI-I.7820.1.5.2023.AW o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dla inwestycji pn.: „Rozbudowa drogi krajowej nr 79 na odcinku Garbatka-Wilczowola od km 93+030 do km 100+711”, stały się własnością Skarbu Państwa z dniem 22 listopada 2024 r.

Z akt sprawy wynika, iż ww. nieruchomość oznaczona jako działka numer 100/28 stanowi między innymi współwłasność pana Szymona Grossmana w 1/6 części, którego miejsce zamieszkania nie jest znane.

W związku z powyższym wzywam, osoby posiadające wiedzę o miejscu pobytu wyżej wymienionego współwłaściciela nieruchomości do udzielenia żądanej informacji w terminie 7 dni od daty zapoznania się z niniejszym zawiadomieniem, w siedzibie: Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie Delegatura - Placówka Zamiejscowa w Radomiu Wydział Skarbu Państwa i Nieruchomości ul. Żeromskiego 53, pokój nr 209 (tel.: 48 36 20 902).

**Ogłoszenie o toczących się postępowaniach odszkodowawczych
za ograniczenie sposobu korzystania z części nieruchomości,
położonych w gminie Głowaczów – obszar wiejski, gminie Gniewosów, powiat kozienicki**

Wojewoda Mazowiecki – stosownie do art. 30 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (t. j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1222), art. 113 ust. 7 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.), w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t. j. Dz. U. 2025 r., poz. 1691) – **informuje, że toczy się postępowania administracyjne w sprawach ustalenia odszkodowań z tytułu ograniczenia sposobu korzystania z części nieruchomości posiadających w części nieuregulowany stan prawny, położonych:**

• gmina Głowaczów – obszar wiejski, obręb 0033 Stanisławów, oznaczonych jako działki:

- numer 152 o powierzchni 1,5100 ha,
- numer 157 o powierzchni 0,7800 ha,
- numer 162 o powierzchni 1,1100 ha,
- numer 163 o powierzchni 2,7800 ha,
- numer 84 o powierzchni 2,4600 ha,

• gmina Gniewosów, obręb 0017 Zalesie, oznaczonych jako działki:

- numer 137 o powierzchni 0,5600 ha,

• gmina Gniewosów, obręb 0002 Borek, oznaczonych jako działki:

- numer 1033 o powierzchni 0,2600 ha.

Wyżej wymienione nieruchomości objęte zostały decyzją Wojewody Mazowieckiego Nr 100/SPEC/2020 z dnia 22 września 2020 r. ustalającą lokalizację inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu polegającą na „Budowa gazociągu w/c MOP 8,4 MPa DN 1000 relacji Gustorzyn – Wronów, ETAP III Rawa Mazowiecka – Wronów stanowiącego część inwestycji pn. „Budowa gazociągów Wronów- Odolanów wraz z infrastrukturą niezbędną do jego obsługi na terenie województw lubelskiego, mazowieckiego, łódzkiego i wielkopolskiego”.



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wiara w pieniądź jest starsza, niż się wydaje

Rafał **Woś**

Czy wiecie, co to rabosz? Nie, nie chodzi o orientálną potrawę. Rabosz był przez kilka tysięcy lat pieniądzem. Nie walutą, ale pieniądzem, sposobem transferowania realnej wartości pomiędzy uczestnikami życia ekonomicznego. W tym sensie był przez wiele stuleci alternatywą wobec monet i banknotów. I nie było to wcale tak dawno temu. W Anglii rabosze krążyły w obiegu jeszcze w początkach XIX w., wspomina o nich także napoleoński kodeks cywilny z 1804 r.

Fizycznie ów rabosz (po angielsku: tally) był kawałkiem drewna. Na takiej listewce zapisywano po obu stronach charakter zobowiązania dłużnego. Zobowiązanie można było też denominować w walucie, bo monety funkcjonowały równolegle z raboszami przez wiele stuleci. Następnie zapisy zabezpieczano wyraźnymi nacięciami na drewnie. W końcu rabosz cięto na dwie nierówne połowy w szereg listewki – w ten sposób, że słoje drewna odbijały się na jednym i drugim kawałku. Dłuższą część zachowywał wierzyciel – ten kawałek w średnio-

wiecznej Anglii nazywał się stock, zaś dłużnik otrzymywał pokwitowanie zwane foil. Stock był ważniejszy, bo był dowodem roszczenia.

W średniowiecznej Anglii obrót raboszem działał w sposób następujący. Król ustanawiał podatek, np. dla kupców wwożących towar (dziś nazwalibyśmy ich importerami) albo dla posiadaczy ziemskich. W ten sposób powstawał dług wobec monarchy, którego fizycznym ekwiwalentem był tally. Dwór często płacił swoimi aktywami (stocks) za różne towary i usługi, a taka wierzytelność krążyła potem dalej. I odwrotnie – dłużnik w zamian za dostarczony towar lub usługę mógł pozbyć się długu (foil), przekazując go dalej nowemu dłużnikowi. System ten nie mógłby działać, gdyby uczestnicy życia gospodarczego nie chcieli akceptować w rozliczeniach kawałków drewna. Ale akceptowali. Zazwyczaj dobrowolnie. Tak samo jak my akceptujemy dziś pieniądze, którymi płacimy i którymi płaci się nam.

Ten system funkcjonował także dlatego, że istniały prywatne, działające w imieniu króla banki. Ich sieć nazywała się w Anglii exchequer. To słowo oznaczało wielki stół, przy którym urzędnicy dopasowywali do siebie obie części raboszy dostarczanych przez mieszkańców. Działo to całkiem jak dziś instytucje clearingowe, które rozliczają ze sobą długi i wierzytelności. Exchequer to kolejna językowa pamiątka – dziś tak mówi się na skarb państwa Wielkiej Brytanii.

Czego nas uczą takie historyczne wycieczki? Tego, że pieniądź to częściej była umowa, rzadziej realna wartość oparta na jakimkolwiek fizycznym surowcu. W tym sensie pieniądź fiducyjny (oparty na wierze), którym operujemy dziś, nie jest wynalazkiem współczesności. Tylko instytucją starą jak życie gospodarcze. ©®

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Dlaczego oszczędzamy

Jest zadziwiające, jak mało uwagi poświęca akademicka ekonomia motywom skłaniającym nas do oszczędzania

Lukasz

Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE

Nie jest przesadą stwierdzenie, że oszczędności to jedno z najważniejszych pojęć ekonomii. W ujęciu Keynesa są one równe inwestycjom – to, co ulokujemy w banku, jako kredyt trafia do inwestora. Oszczędność jest cnotą, gdyż wyrzeczenie się dzisiejszej przyjemności na rzecz zwielokrotnienia jej w przyszłości wpisuje się w ideały cierpliwości, racjonalności i technokratycznego stoicyzmu.

Zadziwiające może się więc wydać, jak mało uwagi poświęca akademicka ekonomia motywom skłaniającym do oszczędzania. Dla makroekonomistów zasadniczym motywem jest wygładzanie konsumpcji – dbanie o to, żeby poziom życia był na tym samym poziomie przez cały czas jego trwania. Takie założenie wkomponowane jest w jądro niemal wszystkich modeli makroekonomicznych – od analizujących wzrost PKB do tych dających rekomendacje dla polityki monetarnej. Jednak ciężko nie przyznać, że pomijamy w ten sposób wiele innych motywów skłaniających nas do oszczędzania: od chęci przekazania spadku, przez status dawany przez majątek, aż do władzy, która bierze się z jego posiadania.

Koncepcja wygładzania konsumpcji ma jeszcze jeden mankament. Analiza modeli prowadzi zawsze do tego

samego wyniku teoretycznego – stałej krańcowej skłonności do oszczędzania. Oznacza to, że niezależnie od dochodu każdy agent w takim modelu oszczędza (konsumuje) taką samą część swojego dochodu. Wyobrażenie Jeffa Bezosa próbującego skonsumować ten sam odsetek swojego rocznego dochodu co przedstawiciel klasy średniej jawi się jako co najmniej zabawne.

Ludwig Straub z Uniwersytetu Harvarda postanowił obalić założenie prymatu wygładzania konsumpcji. Korzystając z Panel Study of Income Dynamics, największego badania ankietowego dotyczącego finansów gospodarstw domowych w USA, szacuje on współczynnik zakrzywienia konsumpcji jako funkcji majątku. Wartość 1, oznaczająca funkcję liniową, potwierdzałyby poprawność modeli opartych na wygładzaniu konsumpcji. Jak nietrudno się domyślić, nie taki jest wynik estymacji Strauba. W zależności od specyfikacji regresji otrzymuje on wyniki od 0,55 do 0,78, oznaczające funkcję wklęsłą. Potwierdza to intuicyjny wniosek – im ktoś jest bogatszy, tym mniejszą część swojego dochodu konsumuje, a większą oszczędza.

Straub nie poprzestaje na krytyce dotychczasowych modeli, ale

proponuje też inne podejście. Wkomponowuje do funkcji użyteczności, stanowiącej matematyczne przedstawienie preferencji konsumentów, bezpośrednią korzyść z posiadania majątku, podczas gdy w variancie domyślnym obejmuje ona jedynie sumowanie zdyskontowanej użyteczności z konsumpcji. Sam interpretuje to jako motyw spadkowy, ważony prawdopodobieństwem śmierci i pozostawienia majątku, ale przyznaje, że równie dobra jest interpretacja związana z władzą i bezpieczeństwem zapewnianymi przez majątek.

Przekłada się to na wiele wyników pomagających rozwiązać zagadki, z którymi ekonomia mierzy się od lat. Przykładowo łączny majątek nie jest już neutralny względem nierówności, jak dzieje się to w tradycyjnych modelach. U Strauba im nierówniej rozłożony jest dochód, tym większa jego część zostaje zaoszczędzona. W efekcie wzrost nierówności o rosnący stosunek majątku do dochodu narodowego (jak obserwuje to w niemal wszystkich krajach rozwiniętych Thomas Piketty), jak i spadające stopy procentowe. Badanie Strauba to rewolucja, więc możemy spodziewać się teraz rozwikłania wielu zagadek fraszujących ekonomistów. ©®

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczek (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski
(tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowie Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.



Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
® – znak odpłatności;

©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych



Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

REKLAMA

Kocham Cię.
Dobrze
to usłyszeć...
od siebie.

13 lutego
Dzień ***Kochania***
Siebie ♥

ROSSMANN